№ 1. Warszawa, dnia 3 Stycznia (22 Grudnia) 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
wraz z bezpłatnym dodatkiem.
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: **Zielna Nr. 7-a.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Obecna doba. — Wiek elektryczności p. L. — W starym domu p. Ostoję. — Socyologia A. Mickiewicza. — Z Galicyi p. Rewerę. — Listy krakowskie p. W. Radkowskiego. — Pisownia polska i akademja krakowska p. Jana Karłowicza. — Palma p. Włodzimierza Wysockiego. — Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. A. C. — Tydzień polityczny. — Cudze głosy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

OBECNA DOBA.

Rok poprzedni, może bardziej niż każdy z poprzednich, uwydatnił w życiu naszego społeczeństwa nowy jego zwrot — ku materyalizmowi praktycznemu. Do pewnego stopnia zwrot ten był przez prasę wywoływanym i zalecanym a w potrzebach ogółu i jego interesach miał swoje poważne uzasadnienie. Z lekkomyślności przeszłej, czy też z ideologii, goniącej ciągle nieuchwytne mary, wzniesionej po nad ziemię i jej rzeczywiste stosunki, wyciągnięto wniosek, że powinniśmy spraktycznieć, rozwijać dobrobyt materyalny, mnożyć swoje zasoby, kształcić w sobie zmysł gospodarczy — a „poezyę" odłożyć do innej pory. Wszystkie wszakże rozumowania, chociażby najwymowniej poparte przebytemi doświadczeniami, nie osiągnęłyby tego skutku, gdyby im w pomoc nie przyszło samo życie. Czy obecny nasz materyalizm zechce ktoś poczytywać za swoją zasługę, czy za cudzą winę, nie ulega wątpliwości, że zaledwie w drobniutkiej cząstce jest on tworem publicystycznych teoryj, głównie zaś konsekwencyą logiki życiowej. Przed laty 20 lub 30 uczuwaliśmy rozmaite niedostatki, ale nie uczuwaliśmy ogólnej biedy—warunki ekonomiczne były znośne. Syci tedy i okryci zatapialiśmy się w snach mniej lub więcej fantastycznych, w marzeniach mniej lub więcej trzeźwych. Od tego czasu poziom dobrobytu społecznego znacznie się obniżył i koszta życia wzrosły. Dawniej mieliśmy co najwyżej głodnego chłopa, dziś mamy głodnych robotników, oficyalistów prywatnych, urzędników, ziemian, kupców itd. Czy jest jakakolwiek klasa ludzi, ubezpieczona od rujnujących wstrząśnień, od niepewnego jutra? Czy po wszystkich warstwach społecznych nie przebiegają dreszcze obaw materyalnych? Czy nam dziś nie wydaje się legendowym obraz pańszczyźnianego obywatela, który drwił sobie nawet z nieurodzaju, lub poważnego kupca, który zamykał długie szeregi lat jednakowym i pomyślnym bilansem? Gdzie się podziały wszystkie monopole przemysłu i handlu! Przebyliśmy całą drabinę zmian, szczebel po szczeblu, więc nie odczuwamy różnicy; ale dość cofnąć się myślą wstecz, dość przypomnieć sobie bardzo niedawny stan kraju, ażeby ocenić rozmiar odskoku, czy postępu. Niewątpliwie postęp ten poprawił w wielu gałęziach nasze stosunki społeczne, rozwinął nasze życie, podniósł produkcyę i oświatę, ale sumę ogólnego szczęścia zmniejszył i skierował dążenia przeważnie w stronę zabiegów praktycznych. Chwilowy wzlot umysłowości przed kilkunastu laty dokonał się na mocnym gruncie ekonomicznym: rozprawiano wiele i gorąco o teoryach filozoficznych, przyrodniczych i estetycznych, bo mara biedy nie stawała ciągle przed oczami. Dziś u góry społeczeństwa panują sprawy społeczne, w jego środku i na dole pogoń za zyskiem. Począwszy od zamożnych kolonistów i kupców, którzy zbierają bandy zbójeckie, a skończywszy na bogatych lichwiarzach, bankierach i przemysłowcach, ciągnie się łańcuch mniej lub więcej godziwych usiłowań zdobycia pieniędzy. Hasło niedostatku wywołało popłoch, a popłoch zrodził namiętne, wściekłe, zajadłe wyścigi za groszem. Ziemianin, zagrożony upadkiem cen zboża, myśli o ocaleniu jakimkolwiek sposobem swej renty gruntowej w dawnym stopniu; kupiec, zagrożony sumiennem i niesumiennem współzawodnictwem, stara się jak najbardziej wyzyskać publiczność; przemysłowiec, zagrożony zastojem, wyciska z pracy możliwe korzyści; urzędnik, zagrożony brakiem w zaspakajaniu najkonieczniejszych potrzeb, dopełnia swą pensyę prawnemi i nieprawnemi spekulacyami; literat, rozciąga wiersze swych artykułów itd. Że popęd ten łatwo przekracza granicę wymagań słusznych i wchodzi w sferę pożądań zdrożnych, w sferę chciwości i nienasyconego zbytku — to jest bardzo naturalnem. Jeden pomnaża swe środki dla nakarmienia dzieci, drugi — dla opłacenia utrzymanek i kosztownych zabaw. Tu wszakże nie idzie, kto i jak użytkuje z pieniędzy, ale o to, że cały prawie ogół rzucił się w kierunku materyalistycznym, że rachubami praktycznemi zapchał swoją głowę, serce, a często i sumienie. Gdyby myśli na czołach ludzkich odciskały swe piętna, widzielibyśmy na nich głównie jedno-, pięcio-, lub sturublówki.

Nie jest to, jak rzekliśmy, chwilowe zboczenie, ani plon publicystycznego posiewu, ale naturalny wynik stosunków życiowych, które zwróciły nas na drogę praktyczną. Przyznać trzeba, że zwrot taki ma swoje strony dodatnie o tyle, o ile zbyt długo grzeszyliśmy zaniedbaniem gospodarczem i o ile wszelki dobrobyt daje siłę. I pomimo nawet wielu zwyrodnień organizmu społecznego, pomimo nadużyć, nieprawości, krzywd i gwałtów, które gęsto wplatają się w osnowę ekonomicznego postępu naszej doby, nie pragnęlibyśmy, ażeby on ustał, ażebyśmy powrócili do dawnych czasów tradycyjnego skostnienia, w którem dobrze było i tym, którym się działo najlepiej, i tym, którzy nie sądzili, ażeby im kiedyś mogło być lepiej. Niepodobna wszakże zamykać oczu na ujemne strony zmateryalizowania się, tem silniejszego, że, jak każdy zwrot świeży, pochłania całą energię i uwagę społeczeństwa. Pieniądze wynalazł rozum a nie sumienie i dlatego są one zwykle w ostrej z niem niezgodzie. Trudno nie dostrzedz, że równomiernie z gonitwą za zyskiem opada u nas poziom moralności, stajemy się praktyczniejsi i w... etyce. Wiele przyczyn skła-

dało swe wpływy na pomnożenie u nas w ostatnich czasach liczby przestępców, ale nie pozostała obojętną i ta, która tkwi w zaznaczonem powyżej dążeniu. Jeśli zamożny handlarz lub kolonista uczuwa chęć do rozboju i kradzieży, to niezawodnie z atmosfery społecznej wdycha pierwiastki drażniące jego chciwość. Również, jeżeli dostatnio uposażony sędzia bierze kubany, a kupiec urządza podstępne bankructwo, muszą ci oszuści znajdować ku temu pobudkę w życiu.

Ze szkodami moralnemi łączą się umysłowe. Konsumcya drukowanego papieru w ciągu ostatnich lat dwudziestu bezsprzecznie wzrosła, ale czy nastrój duchowy nie zniżył się, czy zamiłowanie do nauki, do badań teoretycznych, do myśli głębszych, do uczuć wyżej wzbijających się nie osłabło? Kto te badania, te myśli, te uczucia z siebie wydobywał lub cudze w społeczeństwie rozdawał, ten widzi wyraźną a niepomyślną zmianę. Materyalizm praktyczny zobojętnił nas na wiedzę, sztukę, nie odciął tylko od teatru, który ma tę właściwość, że może być zarówno źródłem próżniaczej rozrywki, jak i szlachetniejszych uniesień. Nauka, która nie tak dawno jeszcze otwierała sobie wstęp szeroki, poszła na łaskawy chleb towarzystw dobroczynnych i dobrodziejów. Jeszcze przed laty dziesięciu ludzie omal nie chwytali się za czuby o to, czy człowiek pochodzi, czy nie pochodzi od małpy; dziś podali sobie zgodnie ręce w sprawie pra-przodków rodu człowieczego i podnoszą je tylko na siebie w walce o rubla. *Przyroda i przemysł* liczyła swoich abonentów na tysiące, *Wszechświat* na setki. W r. 1874 lub 5 nakład *Pamiętnika fizyograficznego* wyczerpałby się wkrótce, dziś wydawnictwo to żyje ofiarnością. Spytajcie księgarzy, ile egzemplarzy rozchodzi się dzieł przyrodniczych, filozoficznych, prawnych? Tylko socyologia posiada urok świeżo zdobyty i historya Polski dawno pozyskany. Inne gałęzie wiedzy schną w skwarze praktycznym, który rozpalił wszystkich.

Siła wymagań życia jest potężniejszą od najrozumniejszych dowodzeń teoryi. O ile wszakże słowo publiczne na kierunek dążeń ogólnych oddziałać może, powinno spełniać swój obowiązek. A obowiązek ten dla prasy, dla wszelkich regulatorów opinii kreśli się jasno: nie paraliżując rozwoju ekonomicznego, należy równoważyć go moralnym i umysłowym, ażebyśmy nie zdziczeli, ażebyśmy nie rozmnażali się w społeczeństwo bogatych samolubów i głupców. Zasoby materyalne są nam potrzebne, ale niech w nich nie zużywa się cała nasza energia, niech w nich nie toną wszystkie nasze zamiary. Długo jeszcze, bardzo długo żyjący i umierający polak będzie musiał wołać, jak Goethe na śmiertelnem łożu: „światła, więcej światła!“

WIEK ELEKTRYCZNOŚCI.

Przeciwnicy głębszych przeobrażeń ekonomicznych wysuwają nieraz jako ostateczny argument zdanie, że postęp techniki może tak silnie oddziałać na stosunki gospodarczo-społeczne, iż wszelkie teorye, oparte na badaniu dzisiejszego stanu rzeczy, okażą się zbudowanemi na piasku. Pod pewnym względem uwaga ta ma za sobą słuszność, ale zarazem oręż to obosieczny i w walce nadzwyczaj ostrożnie używać go należy. Żyjemy bezwątpienia w epoce olbrzymich wynalazków, w przededniu — jeżeli nie stanowczego podboju — to wielkiego zwycięztwa myśli i woli ludzkiej nad siłami natury, przez poznanie rządzących nią praw. W niedalekiej przeszłości zastosowanie siły pary np. — przyczyniło się niezmiernie do rozwoju kapitalizmu; możemy sobie przedstawić, jak doniosłe znaczenie miało dla pierwotnych ludzi przyswojenie zwierząt albo roślin zbożowych. Przyszłe wynalazki, nie te wcale, o których roi bujna wyobraźnia marzycieli, ale te, których spodziewać się należy, dokonać mogą przewrotu nieobliczonego w skutkach.

Łatwo zrozumieć, jaki wpływ wywarłby np. wynalazek sztucznej produkcyi cukru, od której, w teoryi przynajmniej, nie jesteśmy tak bardzo oddaleni, a jest to jedno tylko z zagadnień, których rozwiązanie leży w postępach t. z. syntezy chemicznej w ściślejszem znaczeniu, t. j. wytwarzania z pierwiastków — związków organicznych. Zupełne rozstrzygnięcie tego zadania wyraziłoby się w zmianach, przechodzących najcudowniejsze fantasmagorye, bo doprowadziłoby do sztucznego wytwarzania odzieży i żywności, uczyniło zbytecznem rolnictwo i hodowlę bydła i wszelkie gałęzie przemysłu, przerabiającego płody roślinne i zwierzęce. Dziś — to jeszcze marzenie, które jednak stać się może rzeczywistością prędzej nawet, aniżeli się spodziewamy.

Z drugiej strony jednak ekonomiści nie mogą brać w rachubę rzeczy nieznanych: nie pozwala na to ani ścisłość naukowa, ani interes chwili bieżącej, który koniecznie należy mieć na względzie. Nie może również i polityka uwzględniać tych nieokreślonych prawdopodobieństw. Trudno odmówić głodnym — kawałka chleba, wydziedziczonym—promyka szczęścia, w imię nadziei, że iuni, że dzieci ich lub oddaleni potomkowie będą kiedyś mieli w bród chleba, światła i szczęścia.

Przypuszczenia, zwłaszcza takie, których ogólne tylko kontury zaledwie narysować można, w nauce i w praktyce odgrywać mogą bardzo nieznaczną rolę. Ale jakkolwiek podrzędnym jest ich udział, do pewnego wszakże miejsca mają niezaprzeczone prawo. Udział ten wyrażać się będzie w tem, że do wszystkich formuł, wyprowadzonych z istniejących danych i określających stosunki przyszłe, wprowadzić należy wielkość niewiadomą a właściwiej nieokreśloną. W pewnych wypadkach owo X zmodyfikować może znaczenie formuły, w innych nawet zmienić ją do niepoznania, doprowadzić do absurdu, znieść całkowicie.

Nauka zresztą nie cofa się przed ujęciem prawdopodobieństw w pewną stałą zasadę i potrafi określić granice ich możliwości. Postęp techniki nie wywija się z palca, nie odbywa się za sprawą ducha świętego, albo innych sił nadprzyrodzonych, ale opiera się na zasadach stałych, znanych i następne jego kroki przewidzieć i obrachować się dają.

Postęp ten dąży do rozwiązania dwóch naczelnych zagadnień: *syntezy chemicznej* i *opanowania siły*. O pierwszem wspomnieliśmy powyżej; rozstrzygnięcie jego nie nastąpi zapewne w bliskiej przyszłości, dziś więc jeszcze nauka ekonomiczna dokładnie liczyć się z niem niema potrzeby. Natomiast opanowanie siły należy do za-

---

W STARYM DOMU.

„Ostatni raz piszę do was! Jeśli mię nie poratujecie—zginę! Za tydzień muszę zapłacić sfałszowany weksel, albo stanąć przed sądem! Następstwa takich spraw znacie—rozpisywać się o tem nie mam potrzeby. Położenie moje straszne! Jako dowód może służyć to, że jeszcze raz piszę do was! Kiedyście mię wydziedziczyli w podstępny, niegodny sposób, poprzysiągłem, że wprzód się powieszę, niż zwrócę się do was z jakąkolwiek prośbą. Strach hańby złamał postanowienie. Ratujcie ten raz tylko, oh, ratujcie! Przez trzy nocy grałem jak potępieniec, myśląc, że się los nademną zlituje. Naprożno! Szaleję od strasznych myśli—umrzeć nie mam odwagi! Przed rokiem obwiesiłbym się może—dziś i ta resztka sił zmarniała bez śladu. Nie obiecuję nic, nie przyrzekam—nie uwierzylibyście mnie, a i ja sam sobie dawno już nie wierzę—drżę przed hańbą! Ratujcie! Tysiąc rubli—to dla was drobnostka; życie więcej warte—eh, może i nic nie warte, ale ja umrzeć nie mogę! Chyba że mi czaszka pęknie z bólu, że oszaleję ze strachu i rozpaczy, wówczas może odwaga się znajdzie—skończę jakkolwiek! Oh ratujcie! Popełniając fałszerstwo, byłem nieprzytomny, pijany może—nie wiem! Występek ten boli mię—wobec bólu nawet strach hańby blednie—nie zdążyłem przehulać całego sumienia. Ratujcie, może potem—umrę!“

List ten p. Turska przeczytała uważnie, obejrzawszy na wszystkie strony, złożyła akuratnie i wsunęła napowrót do koperty. Była pierwsza po południu—obiad jadano zwykle o drugiej. Dano dziś zupę rakową, zrazy z kaszą, szparagi i kalafiory; te ostatnie były wielką nowalią w tej porze; przyrządzone w sekrecie, miały stanowić niespodziankę dla męża i średniego syna Julka; obaj lubili bardzo wszelkie delikatne jarzyny, jakoteż wogóle dobrze przyrządzone obiady. Za to najmłodszy syn zachowywał się dość obojętnie względem jadła, gdyż był idyotą, melancholikiem raczej, jak go przez grzeczność nazywali znajomi i sąsiedzi. Ten nawet nie zawsze do stołu przychodził: nogi miał słabe, idąc, trząsł się, jak sparaliżowany; obiad i herbatę noszono mu do jego pokoju, pomimo że matka nie lubiła, żeby naczynia i jadło roznosić po całem mieszkaniu. Turscy mieli starą dwupiętrową kamienicę z oficyną, murowaną stajnię i kawałek ogrodu; mówiono, że i trochę grosza uzbierali już sobie. Mogli tedy jadać smacznie, tem więcej, że to stanowiło jedyną ich rozkosz. Na schodach, prowadzących do ich kuchni, czuć było zawsze zapach wybornej kawy; ludziska, przechodząc, zwalniali kroku, mimowoli oglądali się na drzwi—każdy odchodził z przekonaniem, że tu panuje dostatek. Front mieszkania zdradzał natomiast poetyczne usposobienie gospodarzy. Na dole w podwórzu, na przeciw bramy, były cztery okna, otoczone gęsto szerokimi liśćmi dzikiego wina; z rana, jak tylko słońce wyjrzy z poza kominów, otwierano okna jedne za drugiem. W pierwszem widać było klatkę z kanarkiem, zawieszoną wśród najgęstszych liści; ptaki szczebiotały jak opętane. Wszystkie muchy obecne w kamienicy zlatywały się do tego okna, szukając ochłody i pożywienia, gdyż w każdej porze dnia stała tu filiżanka z kawą lub herbatą, a przy niej kilka drobnych kawałeczków cukru. W wysokim fotelu, obitym czarną skórą, siadywała otyła jejmość, rumiana, z małemi, bardzo żywemi oczkami, bez czepka na siwych, gładko przyczesanych włosach; przy każdym poruszeniu głową tłusty podbródek rozkładał się rozkosznie na białym kołnierzyku. Piła kawę lub herbatę, włożywszy uprzednio do ust jeden z małych kawałe-

dań blizkiej przyszłości i wpływ jej na rozwój i ukształtowanie stosunków społecznych przewidzidzieć a nawet w zarysach ogólnych oznaczyć już można.

Taki cel wdzięczny, ale trudny postawił sobie A. Wilke, autor broszury niemieckiej, która świeżo ukazała się w polskim przekładzie*). Wychodząc z zasady, że wszystkie zjawiska przyrody są objawami siły, a różnice w nich są tylko ilościowe, W. uważa twory jej jako produkty samej siły. Jeżeli więc potrafimy wytwarzać dowolne ilości siły i dowolnie je składać, to możemy wtedy twory natury sztucznie produkować. W ten sposób pozbywamy się zależności od niej a znaczna liczba potrzeb naszych redukuje się do jednej tylko: mianowicie do siły, której wszakże tworzyć nie umiemy, lecz musimy ją czerpać ze źródeł jej. Te ostatnie więc są czynnikami ekonomicznymi pierwszej wagi. Opanowanie siły przedstawia cztery główne czynności: eksploatacyę źródeł, przemianę postaci, przesyłkę w przestrzeni i czasie, wreszcie dzielenie i łączenie siły, a wyraża się w zamianie pracy ludzkiej, której z biegiem czasu pozostanie w udziale jedynie kierownictwo. Pomijamy przyrodnicze wywody autora, zaznaczając jedynie, że eksploatacya źródeł siły według niego odbywać się powinna za pomocą elektryczności, która posiada dla tego najodpowiedniejsze warunki.

Przemiana innych postaci siły w elektryczność, i odwrotnie, przedstawia względnie najmniej trudności, wyrównanie miejscowe siły zapomocą przesyłki i czasowe za pomocą nagromadzenia, jak również podzielność i łączenie przy zastosowaniu elektryczności najłatwiej uskutecznić się dają.

Stosunek strat przy tych działaniach i stosunek wydajności przemawiają dziś już na jej korzyść i pozwalają spodziewać się, że wkrótce pokona wszelkie współzawodnictwo.

Jednem słowem „wiek pary“ będzie niedługo nazwą minionej epoki, a natomiast rozpocznie się wiek elektryczności, w którym stosunki ekonomiczno-społeczne przybiorą znacznie odmienną postać. Kształty ich, aczkolwiek zamglone nieco, rysują się przed oczami autora i czytelników, podzielających jego wiarę. Jest on wymownym apostołem postępów elektrotechniki, chociaż doniosłości ich wpływu nie przesadza; owszem powiedzieć raczej można, że zmniejsza. Sądzi np., że na podział produktów i towarzyszące mu zjawiska ekonomiczne, wpływ ten będzie żaden, uwydatni się zaś jedynie w olbrzymiem podniesieniu produkcyi. Zapewne, że większość wynalazków technicznych oddziaływa głównie w ten sposób, pośrednio tylko pomnażając znacznie rozmiar produkcyi, przyczynić się może do obfitszego stosunkowo ale bynajmniej nie sprawiedliwszego rozdziału bogactw. Taka wszakże rdzenna przemiana wytwórczości, jaką przewiduje autor, która według jego własnego zdania obejść się nie może bez upaństwowienia, t. j. elektromonopolu, oddziaływałaby na sferę podziału bogactw. Ekonomiczne znaczenie elektryczności w wielkiej części polega na tem, że prowadzi koniecznie do monopolu państwowego, który nie miał by żadnej racyi ograniczać się tylko do wytwarzania i handlu siłą, ale posiadając w swem ręku najważniejszy czynnik produkcyi, objąłby ją całkowicie. Z drugiej znowu strony elektromonopol odsunąć może potrzebę gospodarstwa zbiorowego; względna łatwość transmisyi i dzielenia siły pozwala na współzawodnictwo małych warsztatów z wielkiemi fabrykami. Słowem prawdopodobnym skutkiem takiej zmiany stosunków byłoby szerokie zastosowanie zasady upaństwowienia, które jednak wbrew dotychczasowym naszym pojęciom nie prowadziłoby bynajmniej do zwycięstwa kollektywizmu.

Są to wszystko przypuszczenia, w których jednak pierwiastek fantastyczny z pewnością gra mniejszą rolę, aniżeli w planach podboju, obcych rynków lub walki z konkurencyą amerykańską zapomocą zrazów w puszkach, itp. cudownych środków. Pożytecznie jest zresztą uwidocznić sobie możliwe zmiany w stosunkach ludzkich, ażeby raz jeszcze przekonać się o względności wszelkich praw i formuł ekonomicznych. Takie niewinne fantazyowanie chroni od bezwzględnego doktrynerstwa od bałwochwalczego fetyszyzmu, zarówno szkodliwego czy to przysięga się słowami Marxa czy też Bastiata.

L.

*) *Ekonomiczne znaczenie elektryczności i elektromonopol.* Przełożył Adolf Kipman. Warszawa 1884.

SOCYOLOGIA A. MICKIEWICZA *).

Wyobrażenia społeczne Mickiewicza, zostające pod zaklętym wpływym czasu, miejsca i otoczenia, wyrosły na glebie anormalnych stosunków, w jakich znajdowała się garstka wychodźców, rzuconych na obcą ziemię, żyjących w niedostatku, często w rozpaczy, bez żadnej opieki, wystawionych na różne miejscowe wpływy. Gorąca miłość kraju i ciągła za nim tęsknota przeszły śród nich w osobną niemal namiętność, wszystkie przewyższającą uczucia i opanowującą ich władze tak fizyczne, jak umysłowe i moralne. Ta namiętność, wzmagająca się w miarę czasu i stawianych jej trudności, zahartowana w różnych okolicznościach tułaczego życia, zwracała się ciągle ku wyłącznemu swemu celowi, a szukając go naprożno po wszystkich drogach i bezdrożach rzeczywistości, unosiła go przez sferę samych złudzeń i niepodobieństw w wymarzoną dziedzinę ideału. Z zapałem nie opuszczała emigracya żadnej sposobności „reprezentowania“ narodu i „protestowania“ przed „głuchą“ Europą przeciw wszystkiemu—aż do natręctwa. W przekonaniu, że jest prawowitą władzą, powołaną do kierowania krajem, postępowała ta krzykliwa i niezgodna rzesza, jak gdyby była państwem. Cel jej, niemożliwy do osiągnięcia, był wszystkim wspólny i pewny, każdy nosił już w swych piersiach całą ojczyznę, chodziło *tylko* o środki. I tu rozbiegli się synowie jednej matki. Przekonanie, że rzeczpospolita, ta „anielica“ czysta i niewinna, upadła—jak powiadali niedobrzy ludzie—brakiem europejskiego uspołecznienia, popychało emigracyę do reform społecznych, a to reformatorstwo tak wygórowało w jej umysłach, że każdy uważał za swój obowiązek ułożyć receptę dla wskrzeszenia nietylko umarłej Rzeczypospolitej, ale nawet dla wyzdrowienia chorej ludzkości. Oficerowie różnego stopnia i broni, literaci, dawni klubiści, intryganci i wichrzyciele, tłum patryotycznych bagnetów, odwykłych od posłuszeństwa i porządku, uważających się za bohaterów i ofiary zdrady, szlachta dawnego autoramentu, trzymająca się oburącz zapomnianych już w Europie form, exministrowie i poeci, księża, profe-

*) *Pielgrzym pols.* (od 5 kwietnia 1882 do 28 czerwca 1838), *Księgi narodu pols.*

---

czków cukru; czasami robiła pończochę; najczęściej jednak spoglądała przez okno na bramę, albo na drzwi swoich lokatorów; znała wszystkie służące po imieniu, śledziła każdy krok mieszkańców, a jeśli zdarzyło się, że cudzy pies zabiegł na dziedziniec, wołała z okna:

— A ty tu czego? a włóczęga! Oj wody, wody! dam ja tobie!

Klaskała przytem w dłonie i podnosiła się z lekka na fotelu. Swoich psów z kamienicy znała zato dobrze; prawda, że było ich dwóch tylko, trzecia zaś wykwintna pudliczka z pierwszego piętra bardzo rzadko schodziła na dół. P. Turska była na nią dość łaskawa; wołała do swego okna, czasami nawet rzucała jej kawałeczek cukru, za co od właścicielki, żony adwokata, otrzymywała uprzejmy uśmiech: obie panie kłaniały się sobie przez okno, a pudliczka tymczasem, zjadłszy cukier, spoglądała łakomie na tłustą dobrodziejkę. W dni pogodne okno otwarte było aż do wieczora, zimą zaś, albo w słotę p. Turska siadywała przy zamkniętem; miejsce w fotelu próżnowało tylko w porę obiadową; wówczas sąsiedzi śmiało mogli regulować zegarki—była to bowiem niezawodnie druga godzina po południu. W dwóch następnych oknach, również obrosłych dzikiem winem, widywano samego gospodarza; w szarym szlafroku, wypłowiałym na plecach, a z wiecznie rozpiętym kołnierzem u koszuli, palił fajkę, albo układał pasyanse. I on na lada szelest w podwórzu zwracał głowę do okna, ale psy i tem podobne stworzenia mało go obchodziły; natomiast gdy dostrzegł, że z wyższego piętra wylano przez lufcik trochę wody, albo garść śmiecia wyrzucono, wołał na żonę przeze drzwi. Tegoż dnia w zanotowanem mieszkaniu pojawiał się stróż z przedmową, że państwo Turscy kłaniają się i proszą, żeby wylewanie i wyrzucanie odbywało się w oznaczonem ku temu miejscu; lokatorowie, zanotowani pod rubrykę „niedbałych,“ mogli się spodziewać podwyższenia komornego w przyszłym półroku. W jasne dni wiosenne, wówczas, kiedy to na wsi wszystko żyje podwójnem życiem, a człek sam nie wie, czemu zazdrościć, czy ptaszkowi, co ginie w błękicie, czy kwiatom i trawom oblanym rosą, kiedy w piersiach aż kole od sił zaklętych, co drgają w powietrzu, a w mieście gwar, ruch, asfalt i rynsztoki w rozmaity sposób przypominają cywilizacyę—w takie dni Turski stał nieraz całemi godzinami w otwartem oknie. Otoczony dzikiem winem, wyglądał jak stary portret, przystrajany ręką czci albo miłości. Praca wycieńczyła go więcej niż lata: zupełnie łysy miał tylko kilka siwych kosmyków nad uchem, wklęsłe skronie, nos cienki i wązkie usta, w których już ani śladu zębów; brodę i wąsy golił starannie. O starości, raczej o pracy niewymownej świadczyły oczy—czerwone, zbolałe, z wyrazem apatyi i przygnębienia; oczy te, wraz z pochylonym nieco karkiem, stanowiły całą biografię starego. Dawniej, kiedy był na urzędzie, w dzień nosił szafirowe okulary, wieczorem zaś zielony daszek nad czołem; bezczynny emeryt porzucił wszelkie ozdoby: mógł sobie swobodnie spojrzeć na świat boży, to jest, na dachy kamienic, na kominy dymiące od rana do nocy, i na kawałek czasami jasnego nieba. Z podniesioną głową, rozszerzając jak można najwięcej zbolałe powieki, rozglądał się dokoła jak ślepy, co od niedawna dopiero wzrok odzyskał, nie zważał, że służące i lokatorowie, ujrzawszy go, krzywili się z obrzydzeniem—widok krwią zabiegłych oczu drażnił nerwy, czasem serce ściskał, chociaż sąsiedzi oswoili się już nieco z tym widokiem. Starzy lokatorowie, oddawna gnieżdżący się w zaniedbanych mieszkankach, pamiętali go jeszcze młodym: zawsze był chudy, milczący, tylko wówczas nie stawał w oknie całemi godzinami—nie miał czasu: o ósmej wychodził do biura, o czwartej wracał, wieczorami pracował w domu; miał też opinię bardzo porządnego człowieka. U są-

sorowie i artyści, ludzie wykolejeni, namiętni i kłótliwi—wszyscy chcieli na swój sposób zbawić ojczyznę, każdy budując wedle swego widzimisię ustrój społeczno-polityczny. Spotykałeś tedy na „ziemi wygnania“ starszyznę, przewietrzającą dawne pergaminy, i młodzieńców z wlepionym w krainę przyszłości wzrokiem; tu krzeszących ogień pałaszem, tam nawołujących do pokoju; tu walczących na pióra arystokratów z demokratami, tam monarchistów w walce z socyalistami; jednych, przerysowujących na oknie wzory teoryj społecznych zagranicznych, drugich, stojących na gruncie rodzimym przy dawnej wierze i obyczajach przodków. Słowem istna Babel społeczna.

Wśród tego zamętu wyobrażeń, pojęć i zasad stanowiono prawa, przepisy, ustawy i rządy, zawiązywano komitety, towarzystwa, kluby i spiski, wysyłano na pewną zgubę do kraju emisaryuszów i luźnych ochotników, aby ziarnko wymarzonych teoryj rzucić na grzędę polską, i brano udział w rewolucyjnych podrzutach Europy z wiarą, że nastąpi przewrot społeczny całej ludzkości. Tu rodzi się nadzieja, że Francya tworzyć będzie legiony, a w ich szeregach wrócą do kraju tułacze z orężem w ręku — chociaż polityka Filipa trzymała się zasady *la paix à tout prix*; tam rozpoczyna swe zabiegi naiwna dyplomacya, żądając pomocy u rządów, wzruszających tylko ramionami na dziecińswa; ten w Bogu tylko pokłada ufność, drugi chce na własnych stanąć nogach, a wreszcie inny składa wszystkie swe nadzieje w sympatyi ludów. Nauczywszy się od francuzów rozpraw o monarchii i radykalizmie, o głosowaniu powszechnem i wszechwładztwie ludu, gadała o tem i pisała emigracya niestworzone rzeczy, i bawiąc się w jakieś sekcye, gminy i manifesty, chciała zburzyć ze szczętem zrysowany gmach przeszłości, aby gwałtownie i bez żadnego pośredniego przejścia przetworzyć cały ustrój społeczeństwa.

Z pośród tych tak sprzecznych żywiołów wystąpił poeta, genialny wprawdzie, ale teoretycznie mało wykształcony i może właśnie dlatego tak stanowczy, tak bezwzględny w sądach, i rzucił w zamęt różnorodnych pojęć niesfornej rzeszy swój pogląd na ojczyznę i ludzkość. Nie jest to wykończony system społeczny, albo filozoficzny, bo, zdaniem poety, żadna gotowa teorya nie przyniosła jeszcze szczęścia ludzkości; ale są to przekonania, z pod serca wyjęte, zrodzone w miłości dla rodzaju ludzkiego. Mickiewicz nie występuje jako ekonomista, ani jako polityk—choć w szacie nowożytnej wygląda raczej na mędrca starożytności, albo na proroka. Jak prawdziwy wieszcz, rzuca swemu narodowi kilka świetnych, więcej błyszczących i śmiałych, niż prawdziwych myśli, bez objaśnień i dowodów, bez długich uzasadnień. Zjawiska społeczne przybierają w jego imaginacyi wspaniałe, ale więcej poetyczne, niż realne kształty; przedstawione w uderzających porównaniach i przenośniach, tworzą skończone obrazy poetyckie. Poeta sprowadza tu złożone formy organizmu społecznego i machiny politycznej do prostych patryarchalnych kształtów, przytem posługuje się sztucznemi antytezami, używa naginanych porównań i dziwacznych wywodów etymologicznych. Owa jego socyologia tonie we mgle ogólników, obejmujących jednym rzutem oka całą ludzkość, a że poeta kieruje się więcej intuicyą i uczuciem, niż znajomością zjawisk społecznych, wpada więc często w przesadę i jednostronność. Śmiałość i bezwzględność wystąpienia i gorący zapał, z jakim głosił swoje zasady, nie mniej jak skończony pod względem artyzmu wykład — wywarły wpływ niesłychany, ale szkodliwy w naszej literaturze. Romantyczną politykę Mickiewicza, wypowiadającego co prawda, tylko to, co czuła i myślała cała emigracya po wypadkach listopadowych, przyjęły dwie generacye polityków i poetów, odtwarzających ten sam temat w różnych odmianach. A były to zasady z gruntu fałszywe, sądy historyczne spaczone, albo z powietrza chwytane, jedynie na to aby zdanie, *a priori* postawione, poprzeć przykładami z przeszłości; wyobrażenia religijne zacofane, dogmatyczne; sentymentalizm i romantyczność w polityce posunięte aż do marzenia; pogląd na sprawę polską, obserwowaną przez szkła analogii Chrystusowej, skrzywiony i mocno zabarwiony idealizmem. Ludzkość przedstawiona jednostronnie, poetycznie; pojęcia społeczne, nieliczące się z warunkami czasu i miejsca, rozstrzygające z natchnienia wszystkie najzawilsze kwestye społeczne, łatwowierność upatrująca w każdym ruchu powszechną wojnę, snująca z każdej obietnicy nadzieję odrodzenia ojczyzny; bezwzględność w wyrokach wieszcza, nieutwierdzonego w prawdzie i niedojrzałego w przekonaniach; szowinizm patryotyczny, zatykający uszy, aby nic złego nie usłyszeć, w końcu sprzeczność w sądach a nawet w zasadach polityki i gospodarstwa narodowego—oto kardynalne wady socyologii Mickiewicza, które wiele sprawiły złego w literaturze i społeczeństwie. Metoda, którą się tu posługuje Mickiewicz, jest dedukcyjną; stawia on z góry abstrakcyjne prawidło, które rozwija potem na przykładach, a że *premissa* zawisła od wrażeń jego indywidualnych, więc nie dziw, że w samotnej pracowni poety, zupełnie oderwanego od świata rzeczywistego, wylęgły się prawa, stojące w rażącej sprzeczności z prawdą. Właściwość działania fantazyą i obejmowania nią zjawisk prostych, naturalnych, przeszkadza poecie naginąć się do badania odmiennych i tak zawiłych. Rozwiązuje więc czasem najtrudniejsze zagadnienia z tej dziedziny w sposób iście poetycki. Bo jestto już prawem natury, że zdolności umysłowe przystosowują się mimowoli do pracy, którą wykonywają. Nieraz podaje Mickiewicz gotowe już wyniki swego rozumowania za pewnik albo za fakt zaobserwowany, sądzi zaś pod wpływem wypadków, bezpośrednio go dotyczących, zaczerpniętych z najbliższego otoczenia.

Wychodząc z fałszywego założenia, że istota ludzka jest niezmienną, wybiera sobie przesłanki dowolne, albo nieprawdopodobne i wyciąga z nich logiczne wnioski, przy których obstajo, jak gdyby posiadały matematyczną pewność, a przytem kieruje piórem jego uprzedzenie patryotyczne, teologiczne i tym podobne uczucia sympatyi i antypatyi. Uczucie — nie rozsądek jest jego busolą. Nie odstępuje nigdy od romantycznej zasady „Czucie i wiara silniej mówią do mnie, niż mędrca szkiełko i oko.“ Rozsądek, czyli wzgląd na okoliczności zmienne życia codziennego, nie jest zdaniem jego trybunałem do sądzenia spraw, dotyczących wieków i pokoleń, bo rozsądek pojedynczy ma być w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego. W czasach, kiedy umysły chore na sofisteryę o wszystkiem rozprawiają, rozum ludzki, wygnany z książek i rozmów, chowa się w ostatnim szańcu—w sercach ludzi czujących. Wskazówką tych ludzi jest uczucie powinności. *Na drodze więc politycznej uczucie tylko ludzi poruszać, a powinność kierować powinna.* Tej zasady na wskroś fałszywej trzymali się jeszcze pierwej tacy politycy, jak Lelewel i Czartoryski. Mickiewicz, który ją najpierw wypowiedział w poezyi, stosował ją teraz do społeczeństwa.

Poeta, patrzący na reformy społeczne jeszcze wzrokiem ustawodawców 3 maja, żyjący całkiem wyobrażeniami przeszłości

---

siadów zjawiał się tylko dwa razy do roku po komorne; gdy liczył pieniądze, ręce drżały z lekka. Stąd wnioskowano, że jest skąpym i chciwym; wybaczano mu to: po ojcu otrzymał tylko tę część kamienicy, w której się urodził i mieszkał dotąd; reszta należała do kilku właścicieli. Spłacał jednego po drugim, skupywał okno za oknem, komin za kominem. Z siłą mrówki budował sobie żółwią skorupę—pieniądze były dlań bardzo drogie; cóż więc dziwnego, że czuł się wzruszonym przy liczeniu. Podziwiano tylko, że, pomimo krańcowej oszczędności, zajmował aż cztery pokoje brudne, ponure, wilgotne, ale—cztery. Nie jeden biedak, mający do wyboru wilgotne sutereny, albo chłodne poddasze, chcąc uniknąć ciemnych schodów, zbyt małych okienek, proponował Turskiemu odnajęcie jednego pokoju; odmawiał zwykle, a zapytywany o powód—milczał, czasami bąknął przez zęby, że—nie może. Przywykł do tych czterech dużych pokojów, mających okna z jednej tylko strony od podwórka, ponurych jak więzienie, ze spruchniałą podłogą, na której ślad farby pozostał tylko przy ścianach, sklepione drzwi, sufity, bardzo grube ściany przypominały klasztor, staroświeckie meble czarną skórą obite, szafy jakieś olbrzymie, komody i biórka od wieków nieruszane z miejsca przyrosły do podłogi, spokrewniły się ze ścianą grubemi nićmi pajęczyny, a wszystko to jakby umyślnie stworzone do tych pokojów. Turski wzruszał ramionami na samą myśl, że w odwiecznych kątach może zamieszkać ktoś obcy; zdawało mu się, że to jest prostem niepodobieństwem; urodził się w tym pokoju, gdzie śpi dotąd, no, i umrze tam, jeśli go śmierć nagła nie zaskoczy wśród ulicy. Czerwone jego oczy, apatyczne nawet na widok nieba i słońca, ożywiały się, nawet uśmiechały czasami, ujrzawszy stare ramy od jakiegoś odwiecznego obrazu, które raptem przy zamiataniu wysunęły się z pod szafy. Kręcił, majstrował, składał je przez całą godzinę, nie zważając, że czas ten okradł od bardzo ważnej terminowej pracy.

— Hm, jak to człek głupieje z czasem— mruczał, spostrzegłszy, że tyle drogiego czasu zmarnował!

Głupiał też coraz więcej: do przeżytych godzin przybywały miesiące, lata, dziesiątki lat—pokoje starzały się i on starzał wraz z niemi. Dziś już niktby się nie ośmielił proponować mu odnajęcie choćby śpiżarki lub piwnicy; wiedziano, że długi spłacił, więc ma prawo mieszkać w czterech pokojach. Wychodząc do miasta, ubierał się w zielonkawy paltot z aksamitnym kołnierzem, w czapkę z urzędniczą gwiazdką i szafirowe okulary; szedł, postukując laską po kamieniach; trzymał się sztywno, dolna warga drgała zlekka, brwi ściągał; w bramie stróż kłaniał mu się nisko, próżnujący dróżkarze oglądali się za nim—był dość ważną figurą na swojej ulicy. Wracał najczęściej w towarzystwie Julka, który nawet z naturą umiał wejść w konszachty: wyglądał na lat dwadzieścia, chociaż mu dawno trzydziestka minęła. Za to był szpetny, mały, piegowaty, bez śladu zarostu, mówiąc, szeplenił trochę; gdy szedł obok ojca, śmiał się i gadał ustawicznie, skubał go przytem za rękaw, to za kołnierz, jeśli dostrzegł włos, pierze lub inną jaką nieczystość. Wogóle wyglądał bardzo zajęty ojcem, a że był o wiele niższym, mówiąc, podejmował głowę i zaglądał w oczy jak piesek; machał rękami, wzruszał ramionami, śmiał się głośno, a z ukosa wciąż na ojca zerkał; chwytał go pod ramię, ostrzegał, wskazywał wygodniejsze przejście; cmokał językiem, gdy słońce zbyt natarczywie zaglądało w okulary starego, zżymał się na lada wietrzyk, a wszystko przez iście synowską troskliwość.

— He, he, papeczko wygląda dziś jak rydz—dalibóg. Czerstwy, rzeźwy, chodzi prędzej, niż ja! Gdzie nam cherlakom do dawniejszych ludzi! Ktoby to powiedział,

i reakcyi, domaga się postępu ludzkości w radykalny sposób, podobnie jak Russeau, od którego mimowoli jest zawisły, jak on potępiając teraźniejszy stan społeczeństwa, oddalonego w swej moralnej zgniliźnie o całe niebo od zasad chrześciaństwa. W przeciwieństwie do teoretyków, starających się wynaleść nową formę społeczną, któraby usunęła niedostatki ustroju społecznego, uważa Mickiewicz samą *formę* za rzecz podrzędną, podnosząc przedewszystkiem *ideę*, mającą na wskróś przenikać społeczeństwo w celu zupełnej reformy. Idea ta nie powinna tylko tej lub owej strony kwestyi społecznej dotykać— jak np. rewolucya francuska, zmieniająca zdaniem jego tylko stosunek właścicieli do poddanych — lecz ma być przekształceniem zupełnem, jak np. chrześciaństwo wobec świata starożytnego. Reforma ta, albo raczej rewolucya, naszkicowana w kilku głównych tylko zarysach, ma się odbyć za pomocą powszechnej wojny, o którą błaga poeta w litanii pielgrzyma. Omyłka poety, jak wszystkich socyalistów, uważających za możebne urzeczywistnienie swej organizacyi społecznej w każdym czasie i przy wszelkich warunkach, polega na tem, że zamiast stopniowego rozwoju historycznego chce wywołać nagły przewrot. Socyologia Mickiewicza nie zajmuje się kapitałem, pracą, własnością, ani tem wszystkiem, co należy do tak zwanej kwestyi socyalnej. Stawiając się w sam środek idealnego stanu swego przyszłego ustroju, nie zna on rozdziału dziedziny społecznej i dlatego miesza pojęcia społeczne, polityczne, religijne i etyczne, odrzucając, jako bezowocne wszystkie środki i „doktryny" zachodnie. Szczytem jego teoryi jest zastosowanie do społeczeństwa idei chrześciańskiej, nienaruszającej w niczem indywidualizmu narodowego. Za pierwszy dogmat społeczny uważa ofiarę, poświęcenie się jednostki, a za pierwszą podwalinę państwa — stan entuzyazmu, egzaltacyi, opartej na nieskończonej miłości bliźniego. Teorya ta zrodziła się w nim, jak w całej społeczności emigracyjnej, pod wrażeniem czynów męczeńskich i ofiar złożonych na ołtarzu narodowym. Uważa ona mylnie za największy czyn polityczny poświęcenie się jednostki i narodu. Na bezwzględnym altruizmie nie można budować tak samo, jak na zupełnym egoizmie. Przypuśćmy bowiem, że jedni odmawiają sobie wszelkiej przyjemności z tego powodu, że ktoś inny mógłby jej pożądać, a ten inny również stanowczo się jej wyrzekł z sympatyi dla bliźniego. Jakie stąd zamieszanie, ile nieporozumień i jaki ubytek zadowoleń powstałby dla wszystkich. Postępki altruistyczne są tylko do pewnego stopnia zbawienne dla dającego i przyjmującego; po za tą granicą stają się dla obu szkodliwe, jednego gubią fizycznie, drugiego moralnie. Wewnętrznej ich sprzeczności dowodzi wyraźnie ta okoliczność, że byłyby one możliwe tylko w takiem społeczeństwie, którego jedna połowa składałaby się tylko z egoistów, przyjmujących ofiary, druga z samych altruistów. Zresztą gdyby każdy dbał tylko o bliźniego, to w końcu nie byłoby nikogo do przyjęcia ofiar. Bezwzględna zasada miłości bliźniego jest także z innego punktu widzenia niemożliwą. Jeżeli przez zaparcie się jeden tyle zyskuje, ile drugi traci, to całkowita suma szczęścia wcale się nie zwiększa; jeśli zaś korzyść jest mniejszą od straty — jak to bywa po większej części — jeśli ten, co przyjmuje, stojąc już i tak niżej od tego, co daje, jest nadto jeszcze zdemoralizowany nawyknięciem do przyjmowania ofiar, a przez to coraz mniej zdolny do odczuwania szczęścia (co jest koniecznem następstwem), to całkowita suma szczęścia musi się zmniejszyć. Tak więc i ten, co ponosi, i ten, co odbiera ofiary, tracą wspólnie. Zresztą naturalnem i logicznem dążeniem człowieka jest zaspokajanie największych potrzeb przy pomocy jak najmniejszych ofiar. A zatem religia egoizmu, nienawiści jest zbawienniejszą dla społeczeństwa, niż religia miłości i poświęcenia? Nie. Ludzkość nie może, nie powinna kierować się ani jednem, ani drugiem przykazaniem *wyłącznie*, bo jeśli pierwsze: „żyj dla siebie samego" jest pod pewnym względem fałszywe, to drugie: „żyj dla innych" jest fałszywe pod innym. Racyonalne zaś przykazanie głosi: „żyj dla siebie samego i dla innych." Jak dla poznania krzywizny, którą zakreśla planeta, zwracamy uwagę nietylko na siłę dośrodkową, lecz także na siłę odśrodkową, tak dla poznania owej elipsy niezmiernych rozmiarów, którą postęp społeczny w biegu swym zakreśla, należy liczyć się z siłami altruistycznemi, jak i egoistycznemi. Przesadne domaganie się w tym pierwszym kierunku jest słabą stroną socyologii Mickiewicza.

(D. c. n.).

Z GALICYI.

Lwów, 25 grudnia 1884.

Kolonie wakacyjne. — Sprawozdanie za r. 1884. — Kółka rolnicze. — Broszura p. Kaz. Langiego. — Dążenia i obawy polityczne. — *Przegląd* p. Masłowskiego. — Odczyt ks. Zoellera o teoryi Darwina. — Zwycięstwo prawomyślnych. — Porażka „żydów i masonów."

Nie pomnę, abym o Towarzystwie pedagogicznem wyraził się w listach moich kiedykolwiek ujemnie. Jest to jedna z niewielu instytucyj naszych, która stosunkowo robi dosyć wiele, obok wytkniętego programu ubocznych celów niema żadnych, a wsparta na żywiołach demokratycznych, ambicyom osobistym i kastowym interesom odmawia wszelkiego poparcia. Z tych właśnie względów uważałem za stosowne zdawać wam co roku sprawę szczegółową z jej działalności, co też uczyniłem i minionego lata podczas zjazdu nauczycieli w Tarnowie.

Wspomniałem wtedy między innemi także o koloniach wakacyjnych, których projekt wyszedł z łona Towarzystwa. Obecnie mam już w rękach sprawozdanie o tej młodziutkiej, bo zaledwie dwa lata życia liczącej instytucyi, za rok 1884. Mimo tak krótkiego istnienia rozwija się ona wcale pięknie. Mówiąc to, mam na myśli atoli Lwów tylko, bo na prowincyi jeden dopiero Tarnów wysłał na wieś garstkę młodzieży w tym roku, Kraków zaś, chorujący chronicznie na wielkości komitetowe, obraduje nad tą sprawą lat wprawdzie kilka, ale nic jeszcze nie przedsięwziął dotychczas. Stolica nasza wysłała ubiegłego lata kosztem 3000 złr., zebranych drogą składek, 94 chłopców i 21 dziewczynek—pierwszych do Huty Krorostowskiej w Stryjskiem, gdzie hr. Kinsky dał im mieszkanie bezpłatne, drugie do Lisowic pod Horczynem. Warunki przyjęcia były następujące: wiek 9—14 lat, przynajmniej dostateczny postęp w nauce, a bezwarunkowo nienaganne obyczaje, stan zdrowia, dający możność przypuszczenia, że pobyt na wsi wpłynie na wzmocnienie sił dziecka (kalecy, nieuleczalnie chorzy i zaraźliwą chorobą dotknięci— wyłączeni), świadectwo ubóstwa (względnie opłata 30 złr. za 3—tygodniowy pobyt na wsi, koszta podróży itd.) i zezwolenie rodziców. Podania wnosiły dzieci na ręce swoich dyrektorów, a po zapadłym terminie nastąpił rozdział. Dzie-

---

że ja syn papeczki? Wyglądam jak brat młodszy. Chwała Bogu. My z papeczkiem jeszcze setnych latek dożyjemy. Che, che! co, może nie prawda? Dożyjem! Papeczko tak sobie po pokoju z kijeczkiem stuk... stuk!... a ja z drugim kijkiem stuk... stuk! Eh, jak ja lubię starych! Żeby to ode mnie zależało, odrazu urodziłbym się starym, siwiutkim staruszkiem, spokojnym, akuratnym, jak mój papeczko. Żyłbym sobie w ciepłym pokoju, jak u Boga za piecem. A co? może to złe życie? Oj, oj, czegoż chcecie więcej!

Stary szedł, wpatrzony przed siebie, zdawał się nie słyszeć ani jednego słowa z gawędy syna.

— A cóż my młodzi? Pracujemy od rana do nocy!—uderzył po zwoju papierów, który niósł pod ramieniem. Gryziem to życie, o mało nieraz zębów nie połamiemy, bijem się, jak ryba o lód. Nie dość pracy w biórze, do domu jeszcze wracam objuczony jak osieł.

Westchnął.

— A co—zajęcia dużo?—mruknął stary.

— Czy dużo! Niby to papeczko nie wie. Całe swoje życie przepracował. My młodzi tak nie potrafimy. O nie —pokręcił głową z ubolewaniem—my słabi, ani sił, ani wytrwałości dawniejszej nie mamy. Ja często sobie myślę: skąd to papeczko siły czerpał? Ta myśl nigdy mi z głowy nie wychodzi. Cicho, spokojnie jak woda w wielkiej rzece płynął i płynął naprzód. My rwiemy się, hałasujemy... i cóż wychodzi? Jedno z drugiem—nic! Chociaż ja o sobie, dzięki Bogu, tego powiedzieć nie mogę—ja mam starą duszę! Czy papeczko uwierzy, że mnie żadna głupia myśl do głowy nie przychodzi...

Uśmiechnął się z przymileniem. Ojciec skinął ręką na znak, że to dla niego zupełnie obojętne.

— Dawniej, to jeszcze czasami... lubiłem w bilard grywać. Miałem tę słabostkę—mea culpa! Papeczko pewno nie domyślał się wcale. Ja, spokojny poczciwiec na łotra nie wyglądam—prawda, co? A jednak grywałem. Ze wstrętem myślę o tem. Porządny człowiek nie powinien mieć żadnych nałogów, prawda?—jak mój papeczko naprzykład. To też powiedziałem sobie—basta! i basta! Od roku kija w ręku nie trzymałem. Teraz naturę mam czystą, w żadną stronę mię nie ciągnie; i dobrze mi z tem, żeby Bóg pozwolił do śmierci taki spokój zachować. Pozwoli! Jak papeczko myśli?

Gadałby tak bez końca, ale oto wchodzą do bramy. Zaledwo spostrzegł matkę w oknie, zerwał spiesznie kapelusz z głowy i kłaniając się kilkakrotnie, wołał z daleka:

— Witamy, witamy mameczkę! Uśmiechał się rozjaśniony.

Można było posądzić, że przybywa co najmniej z Patagonii po trzechletniej podróży. Przyspieszał kroku i ciągle uśmiechnięty wsunął głowę w otwarte okno; schwycił matkę za rękę.

— Obiadek już pewno gotów? Smaczniutki, wyśmienity, jak zwykle—gadał, całując w rękę. Oh ta nasza mameczka, oh to kobieta, dalibóg! I znowu całował.

Wchodził do swego pokoju. Za chwilę w czwartem oknie, otoczonem winem, ukazywała się jego ruda głowa; poprawiał włosy, ocierał pot z czoła, tymczasem zaś zerkał na wszystkie strony podwórka. Przy pompie hoża pokojówka z pierwszego piętra płukała kołnierzyki, podkasana wyżej podwiązek, roztrzepując delikatne tiule i koronki, poruszała rozkoszną figurą. Tam w kącie chłopak stróża ciągnął cudzego psa za ogon i kopał go nogami w tylnie łapy. Na dziedzińcu nie brakowało rodzajowych obrazków: żywe oczki Julka uśmiechały się nie bez przyczyny.

(D. c. n.).

Ostoja.

ciom najwątlejszym dano pierwszeństwo z uwzględnieniem najbiedniejszych — przy równych warunkach rozstrzygał stopień z obyczajów i postępów w nauce. Każdego malca wpisano w księgę z zanotowaniem stanu zdrowia, wagi ciała itp., a po powrocie ze wsi zważono go znowu i poddano oględzinom lekarskim. Rezultat był świetny. Sprawozdanie dr. Żulińskiego wykazuje, że cera twarzy kolonistów poprawiła się znacznie, a stan zdrowia polepszył się wogóle. Dzieciaki—widziałem je przed wyjazdem i po wakacyach—wyglądały po powrocie czerstwo, zmężniały, a na siłomierzu cudów dokazywały. Wzrost ciała powiększył się średnio o 2½ centim., a ciężar o 5 kilogramów. Niektórym dzieciom przybyło blisko 10 kilogr. wagi. Znikła niedokrewność i usposobienie do katarów, zołzów i suchot, wyszumiały gdzieś bóle i zawroty głowy, a brak apetytu i złe trawienie należały do rzeczy dawno minionych. Wpływ kolonii na młode duszyczki i umysły dziatwy był niemniej wielkim. Już to bezwątpienia obcowanie z naturą lepszych rzeczy nauczy chłopca, czy dziewczynkę, niż ocieranie się o brudne zaułki miejskie. Czas podzielony był na wycieczki, kąpiele, czytanie, ćwiczenia gimnastyczne, musztrę i różne zabawy tak, że dzieci nie zaznały ani na chwilę tego, co się w mieście nazywa—nudą. Panowały tam koleżeństwo, porządek, a przedewszystkiem szczerość i serdeczność, której nauczyciel próżnoby uczył w szkole lat dziesięć.

Po takich rezultatach trudno już chyba zaprzeczyć, że instytucya dziecięcych osad letnich jest niezwykle doniosła i błogosławioną w skutkach swoich. Godziłoby się też, aby zyskała jaknajszersze rozpowszechnienie. To, co Lwów dotychczas zrobił, jest jeszcze bardzo mało, w każdym jednak razie podnieść należy, że prześcignął takie miasta, jak Peszt i Wiedeń, a niewiele ustępuje Warszawie. Początki to zresztą, miejmy więc nadzieję, że z każdym następnym rokiem zastęp młodych kolonistów zwiększać się będzie. Niech tylko nie ostyga w gorliwości najczynniejszy współpracownik tego dzieła, dr. Gerstman, który wprawdzie nie jest ani protektorem, ani prezesem komitetu, ale niezaprzeczenie robi najwięcej. Protektorką jest p. namiestnikowa Zaleska—prezesem dyrektor Wrotnowski.

Jak kolonie wakacyjne i Towarzystwo pedagogiczne, chciałbym podobnie chwalić wszystkich i wszystko, co się u nas dzieje. Kiedy nie można. Trudno np., abym się zachwycał Kółkami rolniczemi, skoro nie działają tak, jakby powinny. Cieszy mnie przynajmniej, że spostrzegli to także inni. Bo kiedym przed dwoma laty ośmielił się zauważyć, że Kółka takie, jakie są, pożytek przyniosą bardzo mały, zakrzyczano mnie, a dwa pisma usiłowały zbić mnie z tropu w ten sposób, że jedno z nich nazwało mnie pessymistą, drugie — „warchołem.“ Widocznie miały racyę, bom umilkł, nie warcholąc już więcej i działalności Kółek nie oglądając inaczej, jak tylko przez szkła różowe. I byłbym się w ten sposób wykształcił na wcale przyzwoitego optymistę, gdyby mnie z pobożnego nastroju tego nie wykoleił nagle p. Kazimierz Langie, brat posła na sejm (jednego z najczynniejszych obywateli) i od niedawna dyrektora fundacyi skarbkowskiej. *Zadanie Kółek rolniczych w Galicyi*—taki jest tytuł jego książeczki, przeznaczonej „dla światłych opiekunów, nauczycieli i przyjaciół ludu.“ Jest to szereg uwag, rad i projektów, wedle których należałoby zreformować nasze stowarzyszenia chłopskie, tudzież krytyka dotychczasowej ich organizacyi i działalności; podpisuję ją niemal bez zastrzeżeń, dziwiąc się tylko, że to samo uczyniły i te pisma, które mnie ongi zwymyślały od warchołów.

Ale mniejsza o to! Drobne moje tryumfiki zostawiam na boku, a zapoznam was raczej z poglądami p. Langiego. „Nie łudźmy się—powiada nasz ekonomista—żeby odczyty, wystawy, zwiedzanie gospodarstw wzorowych itp. mogły być uniwersalnem lekarstwem na plagi, trapiące naszą ludność wiejską i na tę chorobę ogólną, którą upadkiem dobrobytu i moralności zowiemy.“ Samo prawienie morałów nie wystarczy, bo *grau ist jede Theorie.* „Jeżeli ma ona lud zbawić, to poparta być musi równocześnie praktyką i to praktyką *w brzęczącej monecie.*“

W dwunastu ustępach rozbiera p. L. szczegółowe sprawy, dotyczące dobrobytu, oświaty i moralności ludu wiejskiego. Mówiąc o złej gospodarce rolnej, sądzi znowu, że marnem jest podawanie sposobów postępowego gospodarstwa bez środków ich wykonania. „Kredyt bez pouczenia rozumnego użycia go jest dla rolnika zabójczym, ale nauka sama bez uczciwego kredytu jest prawie zawsze bezpłodną.“ Chów bydła. Wobec spadku cen zboża jest on jednym z najgłówniejszych sposobów ratowania gospodarstw, zarówno większych, jak i mniejszych. P. L. odradza sprowadzanie ras obcych, a poleca ulepszenie krajowej. Toż samo co do pszczół, których pierwotną ojczyzną jest przecież Ruś i Litwa. Rzemiosła. Autor nie pragnie wytworzenia wśród ludu osobnego stanu rzemieślniczego—proletaryatu, ale chciałby, aby wszyscy gospodarze uczyli się niektórych najpotrzebniejszych rzemiosł, które dawniej umieli, a później zaniedbali. Kółka powinny sprowadzać nauczycieli rękodzieł do każdej okolicy na kilka tygodni. Sklepiki chrześciańskie uważa za środek zapobiegawczy przeciwko wyzyskowi włościan i włóczeniu się po jarmarkach. W dalszej perspektywie ukazuje zaś domy komisowe dla właścicieli większych posiadłości, albo spółki rolnicze. W ustępie o pieniactwie uderza na pisarzy pokątnych, podając na nich taki sposób: Kółko zawiera umowę z adwokatem w najbliższem miasteczku sądowem, który by za pewnem stale oznaczonem wynagrodzeniem był doradcą i opiekunem prawnym wszystkich członków Kółka. Otworzyłoby się równocześnie szerokie pole dla prawników, niemających dzisiaj chleba. Jedynym środkiem przeciwko grze na loteryi jest moralizowanie i zachęcanie do ubezpieczenia życia i starości. Tu daje rady, jak pouczać lud o gospodarności, o tem, co jest kapitał, oszczędność, kredyt itp. Radzi zakładać gminne kasy oszczędności pod zarządem prezesów Kółek, obudzać poczucie solidarności, *asocyacyi*, którego owocem byłyby: spółki mleczarskie, wspólne posiadanie kosztowniejszych maszyn gospodarskich, wspólna obrona od pożarów, wspólny pastuch wiejski itp. Czy Kółka takie idealne mogłyby oddziaływać na zarząd gminny, jak sądzi i radzi autor—wątpię; wglądanie w sprawy gmin leży bowiem w zakresie działania wydziałów rad powiatowych. Kółka mogłyby spełniać chyba rolę delegatów powiatowych. Myśl przeniesienia seminaryów nauczycielskich z miast na wieś jest racyonalna, ale wymaga szerszej dyskusyi i długo zapewne pozostanie w sferze projektów. Natomiast zarzut, wymierzony w system internatowy seminaryów, jest bardzo na czasie i zupełnie słuszny.

Uwag p. Langiego, treściwie na 68 stronach wypowiedzianych, trudno mi tutaj przytaczać wszystkich. Z niektóremi dałoby się — i skutecznie może — polemizować; bądź co bądź świadczą one, że Kółkami poczynamy się interesować *seryo*. A co to zrazu za dziwotwory mieć z nich chciano! Usiłowano im nadać polityczny charakter, którego instytucye tego rodzaju mieć bezwarunkowo, zwłaszcza w Galicyi, nie powinny. Z drugiej strony obawiano się rzeczy wręcz przeciwnych: rusofilstwa, socyalizmu, ba! możliwej nawet samodzielności rozwoju klasy wieśniaczej. Te i inne pobudki były powodem, że Kółka zostały zwichnięte, zanim je jeszcze w ruch puszczono. Wbrew dążnościom autonomistycznym w polityce przyjęto zasadę przy Kółkach przyjęto centralistyczną, zasadę austryacką działania *von oben*, gdy przykłady na Wielkopolsce i Szlązku uczą dostatecznie, że jedynie praca *z dołu* może liczyć na powodzenie. To też, choć Kółek mamy już 259, niewiele o nich słychać; chłop do nich nie lgnie i jest nam z niemi tak, jak było przedtem — bez nich. Może choć głos p. Langiego podziała cośkolwiek na zmianę pojęć o pracy nad ludem, której albo nikt imać się nie chce, albo też bierze się do niej tak nieumiejętnie, że niepowodzenie z góry jest przewidzianem.

Udało mi się z Kółkami — spróbuję przepowiedzieć przyszłość *Przeglądowi*, którego istnienie pod redakcyą p. Masłowskiego a protektoratem możnych rozpoczęło się w połowie b. m. Może to p. M. nazwie kalumnią, ja jednak twierdzę stanowczo, że z Bankiem dla krajów koronnych i przywiązaną do niego kliką łączą go stosunki serdeczne, których nie tylko nie ukrywa, ale owszem zdradza je w każdej niemal szpalcie swojego pisma. Koteryi tej broni on z taką zapalczywością, że chyba za ujmę brać sobie tego nie powinien, jeżeli mu ktoś pokrewieństwo z nią wytyka. *Przegląd* prezentuje się na zewnątrz wcale dobrze: papier ma biały, gładki i przyjemnie połyskujący, co do przekonań zaś, to czytelnicy *Prawdy* znają je z „Listów do przyjaciela,“ które streściliśmy i ocenili jeszcze w lecie. Druk nowego pisma zasługuje również na uznanie — mniej natomiast jest dla mnie zrozumiałym skład redakcyi, w której pomieścić się zdołali ludzie rozmaitych przekonań, nie mówiąc o bezwyznaniowcach społeczno - politycznych, bo tych ciurów znajdziesz w każdym obozie. W nic nie wierząc, tałałajstwo to przysięgę składa codzień na inny sztandar z taką łatwością, z jaką wymykać się umie, gdy je przyprzesz do muru, pytając o przekonania. Amfibij tych w *Przeglądzie* jest więcej, niż gdzieindziej. Razem to wszystko zważywszy, nie trudno mi już przyjdzie wywróżyć dolę polskiego organu hr. Taaffego. Zegarek będzie szedł, dopóki go nakręcać będą z Wiednia — stanie zaś, gdy wielki zegarmistrz i jego adherenci odmówią swej pomocy; bo społeczeństwo go nie poprze, a prenumerata od kilkuset szlachty i księży nie wystarczy nawet na telegramy, które *Przegląd* sprowadza „na własnym drucie.“

Mieliśmy tu przez kilka tygodni przewyborną zabawę. Nasamprzód niejaki ksiądz Zoeller zabawił się w przyrodnika i odczytał publicznie „rozprawę“ swoją p. t. *Człowiek i małpa.* Stając w obronie wiary w istnienie Boga, wielebny prelegent uśmiał się do łez z „małpiej teoryi“ Darwina i „fantastycznych twierdzeń“ Haeckla, przyczem nie omieszkał przetrzepać świątobliwym biczykiem wszystkich pozytywistów. *Kuryer lwowski* zauważył bardzo słusznie, że ksiądz dobrodziej spóźnił się nieco ze swoim wykładem, w którym nadto znalazła się cała armia nonsensów przyrodniczych. Ale nie koniec na tem. Tutaj bowiem dopiero akcya poczyna się wikłać, a cała komedya bawić widzów, czy słuchaczów. *Gazeta narodowa* bierze w obronę ks. Zoellera i wytacza najcięższe działa przeciwko *Kuryerowi.* „Hajże — woła — jakie to *gaudium* dla szrejbjudy, dla żyda-masona!.“ No, i cóż powiecie, że to *argumentum ad hominem* przekonało całą masoneryę *Kuryerową* do tego stopnia, iż odżegnali się wszelkiego licha, wymyślili na prędce jakiegoś „darwinowskiego“ Boga i jeszcze pogrozili *Gazecie* za to, że ich „obarczyła najcięższym (!) z zarzutów, bo zarzutem ateizmu!..“

Ludzie się śmieją, a Darwin obrócił się pewnie w trumnie na Westminsterze — także ze śmiechu...

Rewera.

LISTY KRAKOWSKIE.

---

28 grudnia, 1884.

Odczyty ks. Kalinki. — Filia Zmartwychwstańców w Krakowie.—*Smok* W. Pruszkowskiego.—Transwersalia.—Dary św. Mikołaja.—Agonia *Gazety krakowskiej*.—Gdzie akademicka komisya językowa?—Podręcznik prof. Anatola Lewickiego.

W pierwszej połowie grudnia zjechał do nas ze Lwowa ks. Waleryan Kalinka z trzema odczytami o generale Dezyderym Chłapowskim. W pierwszym objął młodość swego bohatera, kładąc szczególniejszy nacisk na jego służbę w armii Napoleona. Po jego upadku Chłapowski wrócił na wieś do Turwi i jął się gospodarstwa—bardzo obdłużonego. Nieobeznany dotąd wcale z tego rodzaju sprawami, uczy się, podróżuje, zwalcza niechęci, towarzyszące zmianom i nowatorstwu, wreszcie nietylko majątek oczyszcza, ale nawet do domu wprowadza zamożność. Uwydatnił dalej prelegent stosunek generała do ludu poddanego, przedstawiając jego starania o oświatę i dobrobyt. Nie dziw też, że chłop wielkopolski, takich mając panów, najwyżej stanął. Podług ks. Kalinki, żyjący wśród ludu i pracujący dla jego dobra żadnych wstrząśnień społecznych obawiać się nie potrzebują; tylko dla tych są one straszne, którzy wyzyskując lud, oddają go na pastwę obcych. Do powiastki o Bartłomieju, co figurę zaczął, a Chłapowski ją dokończył, kładąc napis: „Bartłomiej zaczął—Dezydery skończył"—nawiązał prelegent słowo, że i my kiedyś na pomniku wypiszemy: „szlachta zaczęła—lud skończył!"

Dzieje pierwszych lat trzeciego dziesiątka bieżącego wieku, w których Chł. czynny brał udział, stanowiły przedmiot reszty odczytów. Nie brakło w nich wielu barwnych obrazów, wielu napomknień i morałów; zakończenie zaś było rehabilitacyą pamięci generała, którego współcześni zarzutami obarczyli. Ks. Kalinka widzi w nim wiernego obowiązkom i rozkazom żołnierza, dającego przykład nieoceniony karności, tyle nam we wszystkich stosunkach potrzebnej.

Odczyty to były bardzo interesujące i znanego historyka godne. Niektóre wnioski nie podobały się *Czasowi* i... dały mu sposobność do zwrócenia uwagi młodzieży na p. Popiela, od którego patryotyzmu uczyć się powinna. Nie zazdrościmy.

Szczęśliwy Kraków! *O terque quaterque beatus*, bo mimo pogłosek o unicestwionych zamiarach Zmartwychwstańców osiedlenia się w jego murach, ma już ich filię i za wolą bożą a protekcyą arystokracyi będzie coraz obficiej napełniał „przybytki pańskie." Skoro bowiem układy z magistratem miasta o odstąpienie kościoła św. Marka i przylegającego budynku przy ul. Sławkowskiej nie odniosły pożądanego skutku, a przynajmniej na czas jakiś zostały przerwane, O. Semenenko nie dał jeszcze za wygranę i umieścił małą osadę „na Szlaku," aby powoli wstępnym bojem zdobywała dusze i—grosze. W wynajętym umyślnie lokalu zakwaterowano pięciu alumnów i dano im dwu młodych prefektów, a po poświęceniu jednego pokoju na kaplicę, powiedziano: „Czuwajcie i módlcie się..."

A my czekajmy, aż temu smoczkowi zęby odrastać poczną, czekajmy, aż powstanie nowy jaki *Przegląd powszechny*, który całemu światu ogłaszać zacznie nowe prawdy, że kościół i szkoła—to jedno, a więc, że nauczyciele świeccy są tylko uzurpatorami!...

Mało widocznie siarki dał szewc Skuba podwawelskiemu smokowi, skoro on ciągle w rozmaitych odradza się postaciach. W jednej z nich fantazya niepośledniego artysty p. Witolda Pruszkowskiego przeniosła go na płótno. Obraz ten niewielkich rozmiarów, który można było parę miesięcy temu oglądać i w Kole literackiem i w księgarni K. Bartoszewicza, przedstawia scenę, gdy podana smokowi na ofiarę krakowska dziewczyna, opleciona i obrzucona wieńcami kwiatów, omdlewając, na skałę się słania. Smoczysko to istotnie straszne, wydobywa się z ogniem zaczerwienionej nory, rozwija obrzydłe skrzydła i pożądliwem a bazyliszkowem okiem pożera dziewczynę. Gęba jakiejś salamandry plugawa i na wpół otwarta, a na płaskim łbie—cóż to?—plama jakaś czarna, rozpoznajesz jakieś skrzydła, szpony, dwie głowy—orła austryackiego... A! zagadka rozwiązana i smok ten, pożerający ofiarę z ludu polskiego, dobrze zrozumiały i znany!... I czytelnicy zrozumieją go, przypomniawszy sobie artykuł wstępny *Prawdy* z 20 grudnia z. r.

Dodać winniśmy, że artysta w tej pracy, świadczącej o olbrzymiej jego fantazyi, wykonał wszystkie szczegóły tak, jak może w żadnym swoim obrazie. Mimo potężnego wrażenia, jakie wywiera, nie podobał się ten utwór klasykom miejscowym a nawet wywoływał potępienie, bo nie jest—„martwą naturą," lub szablonowym, oklepanym tematem.

Takich smoków i smoczków ma Galicya więcej. Mówiliśmy w ostatnim liście o broszurze p. Hlawatiego, w której zebrano oszustwa całej spółki wyzyskiwaczy na szkodę kraju i ludności. Od naocznych świadków, którzy mieli nieszczęście przebywać większe lub mniejsze przestrzenie tą koleją państwową (*k. k. Staatsbahn!*), dowiadujemy się nowych ciekawych szczegółów.

Kiedy w październiku r. z. otwarto ruch na pewnych częściach linii, zjawiły się eleganckie wagony najnowszego systemu, czyściutkie i nowiutkie. Ludek cieszył się, że będzie za tańsze pieniądze, niż np. na kolei Karola Ludwika, jeździł po pańsku; ale, jakto zwykle łaska pańska na pstrym koniu jeździ, tak się i tu stało. Pewnego pięknego poranku urocze wagony znikły, uchodząc gdzieś aż na ziemię przedarulańską, a w Galicyi, odpowiednio do jej obszarpanej szaty, pojawiły się brudne, stare, naprawiane, które wstręt i odrazę budzą w podróżnych. Ale gdybyż te nawet spełniały służbę! Na każdej stacyi, osobliwie w okolicy naftowej koło Biecza i Gorlic, stosy beczek nafty czekają całymi tygodniami transportu ze szkodą właścicieli i kupców, i doczekać się nie mogą popchnięcia naprzód bo — brak wagonów i służby.

O owej służbie cuda opowiadają świadkowie. Na większych stacyach co najwyżej dwu urzędników, na mniejszych jeden, pełniący obowiązki za trzech a więc na dobę co najmniej 36 godzin!! Proszę się nie śmiać; ci ludzie nie mają czasu jeść, spać, a kiedy już umierają ze znużenia, pospiesza im na pomoc cokolwiek mniej zmęczony urzędnik z większej stacyi, jako—*Aushilfe!*

W największe mrozy ci heloci chodzili w obdartych sukniach, letnich czapkach lub słomianych kapeluszach, i bijąc ręką o rękę lub chuchając w nie, pocieszali się nadzieją, że po Nowym roku otrzymają mundury, kożuchy i czapki futrzane. Darmo się modlili do św. Mikołaja—nie przyniósł przyobiecanych podarków.

Za to Kraków ulubił sobie ten święty patron. Stańczyk Krakowowi dał prezydenta, a św. Mikołaj przyniósł mu przez usta głowy miasta obiecanki—cacanki: kanalizacyi, wodociągów, zakładu gazowego i wiele, wiele innych zabawek, wyciągniętych z teki dawnego prezydenta, a w dzwonki stańczykowskie przybranych...

Przyniósł św. Mikołaj i wskrzeszenie komitetu budowy pomnika Mickiewicza. Jutro (29 grud.) ma się to ciężkie cielsko ruszyć i wybrać „jurorów" (neologizm stańczykowski), t. j. sędziów do ocenienia projektów, których dotąd aż pięć w modelach do Krakowa przybyło...

Wskrzeszając jednych — św. Mikołaj przyniósł śmierć innym. *Gazeta krakowska* z uczciwego dziennika, a niegdyś nawet bardzo ożywionego i interesującego, stała się w ostatnich czasach płatną służką—wszystkich. Działo się z nią to, co się dzieje z powiernikami tajemnic buduarowych—gdy nie można kupić milczenia, nakazuje się—i to wieczne. Agonia już rozpoczęła się—z codziennego stała się *Gazeta* pismem tygodniowem, które naturalnie nie mając racyi bytu, wkrótce istnieć przestanie, przenosząc swe tradycye na *Przegląd* lwowski p. Masłowskiego. Szlachetna koligacya—nie ma co mówić!

Nieboszczka miała tę zaletę, że się pastwiła nad językiem polskim i jego ortografią. Ale gdzież są nasi ortografowie? Przed rokiem słyszeliśmy o zaciętych sporach w murach Akademii—szczęk broni dochodził aż do was, biedna *jota* mordowana i wskrzeszana w postaci upiora i zmory siadała na piersiach gramatyków—dziś cicho—ani śladu życia. Naród cały czeka wysokiego ortograficznego wyroku, tymczasem komisya językowa, złożona z językowych i niejęzykowych członków, gdzieś przepadła, a na jej miejscu stawia Akademię „superkomisyę," która ma zbudowane obalić i nic nie postawić, chwaląc to, co chce p. prezes...

Niedawno ukazała się tu książka p. t. *Zarys historyi Polski i krajów ruskich z nią połączonych*, napisana przez profesora historyi *austryackiej* (!) na Uniw. Jagiell. dr. Anatola Lewickiego. Dziełko to „Wysoka c. k. Rada szkolna krajowa" zaleciła do użytku w szkołach! Przeczytaliśmy uważnie tę książkę o str. 316 (jak na podręcznik za obszerną i na lichym papierze drukowaną) i dowiedzieliśmy się bardzo wielu nowych rzeczy.

Nie wdając się w szczegóły treści, przedstawionej sucho i zimno, napomknąć musimy, że ów *Zarys* chyba dla ostatniego ustępu historyi austryackiej i dla—*austryackiego języka* aprobowała Rada szkolna. Ten ostatni zasługuje na osobliwe opracowanie gramatyczne do wykazania wpływu niemczyzny na umysły polsko-ruskie w Galicyi. Prof. L. „pojmuje zadanie władcy w najszczytniejszym sposobie," (str. 101) „obraca się za pomocą" (str. 258), „ustępuje zarządu" (177), „usadawia Jagiellonów" (155), „zapośrednicza" (172), „do przypuszczeń nie ma konieczności" (30), „musząc" (34) mówić o „podźwigach pogaństwa" (37) i „ciążeniu Piastów" (57). Jako próbkę stylu prof. L. przytaczamy tylko dwa miejsca. „Kilka opól składa powiaty; *środkiem tychże obwarowane są* grody, w których przesiadują wraz ze załogą „panowie" (*comites*) itd..." (str. 29) albo: „Za panowania Zygmunta I. w *szczególności kwitł* i umarł we Frauenburgu, wielki reformator astronomii, Mikołaj Kopernik (1473—1543) uczeń Brudzewskiego, którego wiekopomne dzieło *De revolutionibus orbium terrestrium* (?) wyszło krótko przed jego zgonem, 1543." Czyje dzieło? Kopernika czy Brudzewskiego?

Biedny języku polski, żal nam twojej doli!

W. Radkowski.

PISOWNIA POLSKA I AKADEMJA KRAKOWSKA *).

Dopóki komisja ortograficzna Akademji miała sobie poleconem wypracowanie pisowni dla wydawnictw Akademji, sprawa była poniekąd domową i pośrednio tylko obchodziła ogół; obecnie zaś Akademja postanowiła ułożyć kodeks ortografji, mający obowiązywać wszystkich piszących po polsku: rzecz więc nabiera wagi i znaczenia, chodzi już tu bowiem nie o przepisy dla drukarni akademickiej, lecz o prawo powszechne; obowiązkiem przeto jest wszystkich, którym się zdaje, iż mają do tego pewne kwalifikacje, głos zabierać i starać się, aby uchwała Akademji odbyła się prawnie, umiejętnie i przekonywająco, słowem tak, iżby nietylko formalnie, przymusowo i zewnętrznie, ale samą istotą przepisu, zniewoleniem wewnętrznem, a przez to dobrowolnem, skłoniła wszystkich do chętnego uznania i przyjęcia reformy.

Nieraz już zabierałem głos w tej sprawie; ogłosiłem książeczkę p. t. „W sprawie pisowni polskiej i wiążących się z nią zagadnień gramatycznych“ (Kraków, 1883), którą w kilku egzemplarzach złożyłem Akademii; *Prawda* zamieściła obszerny mój artykuł tejże treści (w numerach 16—18 r. 1884). Nie będę więc wchodził ponownie w szczegóły, lecz tylko powtórzę kilka wierszy, streszczających zapatrywanie się moje na formalną stronę nastąpić mającej uchwały. Domagałem się wtedy (str. 216), aby wezwano *wszystkich lingwistów polskich*, iżby nad ustaleniem pisowni naszej znowu wszechstronnie się zastanowili; *aby przepisy ortograficzne przyjęto głosowaniem, w którem, na wezwanie Akademji, wzięliby udział wszyscy lingwiści polacy i to sami tylko oni, bez udziału nie-specjalistów. „Dopóki, jak obecnie, wyrokować o niej będą nie-specjaliści* (pisałem wówczas)... *dopóty powaga uchwał pozostanie wątpliwą.*“

Pragnienia moje zaspokoiły się, lecz nie w zupełności. Od zamiaru uchwały przepisów dla własnych wydawnictw, Akademja uczyniła ważny krok naprzód, przystępując do wypracowania zasad dla ogółu i dobrze się stało, bo czas wielki był po temu; zawiązała się dyskusja, nadesłano wiele uwag i materjałów, oraz wydrukowano parę broszur, ściągających się do ustalenia pisowni, — i to się stało pomyślnie. Ale nareszcie zabrano się do rzeczy w sposób, który nikogo zadowolić nie potrafi: *wyznaczono komisję* (jak o tem doniosły dzienniki, a w tej liczbie i *Prawda*) *do ustalenia pisowni, złożoną z dziewięciu członków, z których dwóch tylko*, pp. A. Małecki i L. Malinowski, *są językoznawcami; siedm zaś głosów oddano mężom, wielce skądinąd zasłużonym, ale nie lingwistom:* większość zatem, i to ogromna, spoczywa w rękach ludzi niefachowych.

Zastanówmy się, że pisownia jest kunsztem, opartym na nauce, lingwistyce, jak np. umiejętność budowania mostów, albo amputowania ręki jest kunsztem, opartym na nauce inżenierji albo medycyny. Gdyby zaszła potrzeba postawienia mostu, tobyśmy na ten cel wezwali: techników, inżenierów, budowniczych, kowalów, cieślów, mularzy itd.; gdyby zachodziła konieczność odjęcia nogi, tobyśmy również zaprosili specjalistów: lekarzy, chirurgów, siostry czerwonego krzyża itd. Bylibyśmy z pewnością mocno zdziwieni, gdyby do budowania mostu uproszono aptekarza, fortepianistę, filologa, kuśnierza itd., a do amputacji nogi—teologa, adwokata, bibljografa, drukarza itd. Gdyby się nawet tak stało, mielibyśmy prawo oczekiwać po sumienności tych panów, iżby się uchylili od niebacznie ofiarowanych im obowiązków, zapewniając, że nie mają ani prawa, ani śmiałości takowych spełnić, gdyż fachowe ich ukształcenie usposobiło ich do innych zawodów i powinności, a wdając się w nieswoje, potrafiliby chyba tylko popsuć sprawę.

Czyżby pisownia miała stanowić wyjątek od prawidła ogólnego? Czyby załatwienie jej potrzeb praktycznych nie miało być zadaniem i obowiązkiem specjalistów? Prawda to, że o pisowni każdy ma prawo posiadać i posiada zwykle swoje własne wyobrażenia; ale tak samo każdy z nas ma swoją kieszonkową medycynę, swój sąd o przedmiotach sztuki, o meteorologji, o sprawach religijnych; lecz czy stąd wynika, iżby miał siebie lub ludzie go mieli za specyalistę w tych rzeczach?

Wracam więc do mojego założenia i powtarzam: owym siedmiu panom członkom gotowiśmy przyznać wszelkie zalety, oprócz charakteru lingwistów, do którego i sami zapewne nie roszczą pretensyi. Niech przeto rozprawiają nad pisownią, i owszem; niech przemawiają, piszą, drukują, ale... niech nie głosują!

Rzecz jasna, jakikolwiek będzie skład komisji ortograficznej, gdy jej uchwała nastąpi, przez poczucie karności i uszanowania dla Akademji wszyscy uchylimy głowy i pisać będziemy, jak nam każą. Ale jakażby zachodziła różnica w wartości tej uchwały, w jej godności i uroku, gdyby zachowano przy tem ścisłą prawowitość i przyzwoitość, nie mówiąc już o tem, że gdyby głosowali sami tylko specyaliści, toby niezawodnie i sama treść uchwał w zupełności wymaganiom nauki odpowiadała.

Inaczejby się rzecz miała, gdybyśmy nie posiadali lingwistów, oprócz dwóch tylko, zasiadających w komisji; ależ z przyjemnością widzimy, że w ciągu lat ostatnich przybył nam spory zastęp językoznawców fachowych, którzy tak są zaszczytnie znani i ogółowi i Akademji, że ich tu wyliczać nie potrzebuję. Otóż, wołać zawsze będę: w sprawie ustalenia pisowni naszej oni, oni tylko mają prawo i obowiązek głosować: wszystkich innym służyć powinien głos doradczy, im tylko stanowczy.

Zapewne, chlubną jest rzeczą módz powiedzieć o sobie: należałem do walnej uchwały w sprawie pisowni polskiej; podpisałem, jeden z dziewięciu, pamiętny ów protokół; imię moje będzie głośne, jak owych deputatów, którzy wnioski z r. 1830 ułożyli. Ale pomyślmy, jaka różnica pomiędzy tym rokiem a bieżącym zachodzi. Wówczas kraj nie posiadał innych lingwistów, prócz owych wnioskodawców; dzisiaj, poza komisją dziewięciu, liczymy ze dwudziestu językoznawców z zawodu, a w komisji zasiada tylko dwóch, reszta zaś ludzie... dobrej woli. Cóż im po chwilowym tryumfie, kiedy dziś, jutro, pierwszy lepszy i własne sumienie ich spyta: jakiem prawem stanowiliście o rzeczy, do której nie jesteście przygotowani? Dlaczegoście się nie usunęli, wiedząc, że są inni, którzy daleko lepiej i zasadniej od was wiedzą, o co chodzi?

Niech mi szanowni siedmiu wybaczyć raczą tę szczerą i odważną mowę. Niech zechcą wziąć do serca słowa moje, które nie żadna osobistość, ani lekceważenie, ale zamiłowanie nauki i dobra powszechnego dyktuje; wszak oświadczałem nieraz i dziś powtarzam: panów tych wielce szanuję i cenię wielostronne zasługi ich naukowe i obywatelskie; ale za lingwistów i za uzdolnionych do rozstrzygania sprawy pisowni uważać ich nie mogę; przekonany jestem, że dwom kolegom swoim, językoznawcom z powołania, jak i całej sprawie, będą tylko zawadzać; uważam więc, iż najwłaściwiejby postąpili, gdyby ze szlachetną bezinteresownością i skromnością zrzekli się prawa głosowania, przekazując je osobom istotnie odpowiadającym zadaniu. Zdaje mi się, że odwołując się do ich sumienia i uczuć obywatelskich, zmierzam drogą najprostszą, jawną i nikogo nie obrażającą, a rzeczy samej, o którą nam wszystkim chodzić winno, wyświadczam przysługę.

Winienem tu, mimo chęci, dodać słów kilka pro domo sua. Nie nowiną u nas by było, gdyby, z powyższych słów moich, w których mi idzie tylko o naukę i prawdę, ktoś wysnuć raczył wniosek, że tą drogą dobijam się dla siebie głosu lub wogóle jakiegoś znaczenia w tej sprawie. Zdanie moje wyraziłem dawno, rok temu, w broszurze, o której wspomniałem wyżej; wotum więc moje złożyłem; nie byłoby przeto żadnej potrzeby powtórnego zapytywania mnie, jak również ja ani potrzebuję, ani pragnę ponownie odpowiadać: com miał powiedzieć, tom powiedział i nic tymczasem do dodania nie mam; a jeżeli piszę dzisiaj, to tylko w sprawie formalnej i to dlatego, że inni, zgodnie ze mną myślący, milczą.

Jak już wspomniałem, w ciągu roku ubiegającego obudził się pewien ruch w sprawie ustalenia pisowni naszej. Ile z prywatnych wiadomości wnosić mogę, dyskusja zespoliła się przeważnie nad pytaniem, jak należy pisać wyrazy obce, zakończone po łacinie na —io, —ia itd. W tym też przedmiocie p. Majer, prezes Akademji, ogłosił pisemko, nie przeznaczone do użytku powszechnego, lecz rozdane wielu członkom Akademji, oraz niektórym redakcjom krajowym. Szkoda wielka, że praca znakomitego naszego fizjologa, która zawiera zapewne cenne wskazówki fonetyczno-fizjologiczne, tak dzisiaj pożądane, kryje się dotąd pod korcem; nam niepoświęconym wolno tylko przypuszczać, iż światło fizjologji znakomicie tam trudności fonetyczne i ortograficzne wyjaśnia. Piszą mi także, iż w broszurze swojej p. Majer polemizuje z innemi, a w tej liczbie i ze mną: jakże żałuję, że polemika ta odbywa się pod maską; nie wątpię, iż skorzystałbym z niej znamienicie, wraz z innemi, których pan M. opozycją swoją zaszczyca.

Jednakże, chociaż dyskusja odbywa się przy drzwiach zamkniętych, podnieść tu muszę jeden szczegół charakterystyczny, dla dobra prawdy. Piszą mi przyjaciele moi krakowscy, że w kołach, zajmujących się żywo sprawą pisowni, do kwestji czysto naukowej natury zdołano już, opłakanym obyczajem naszym, przymieszać politykę i religię. Pomiędzy innemi szczegółami, wydobyto na jaw fakt, iż pewien autor, piszący na Litwie, wydrukował w książce swojej *włościjanie* zamiast *włościanie*: otóż dało to powód do rozmyślań; upatrzono w tem napisaniu wyrazu symptomat obcego wpływu przez pisownię na język itd. i zawiązała się dyskusja, nie pozbawiona pewnej animozji i deklamacji, jak to zwykle bywa, gdy się do sprawy obojętnej niewłaściwie przyczepi zgoła jej obce żywioły.

Postanowiłem więc w kilku słowach rzecz wyjaśnić, aby ją na właściwy tor sprowadzić; a że mi się zdaje, iż jestem w stanie w tym razie kwestję wyczerpująco załatwić, więc o posłuchanie proszę.

Chodzi o to, jak należy tłumaczyć fakt, że w roku pańskim 1884 wydrukowano wyraz tak: *włościjanie.* Nie zapytuję, dlaczego autor tak napisał, bo wszelkie prawdopodobieństwo jest zatem, że nie autor, ale zecer, albo korektor błąd ten popełnił; autor bowiem, którego rękopisy miałem w ręku i z którym koresponduję, pisze poprawnie.

Dla wyjaśnienia faktu tego, niech sobie czytelnik przypomnieć raczy, że w logice przewidzianem jest, a raczej stwierdzonem pewne zboczenie w trafności sądzenia, zwane *błędną analogją.* Polega ono na podprowadzeniu danego zjawiska pod nie-

*) Ponieważ artykuł ten dotyczy pisowni, więc pozostawiamy nietkniętą ortografię autora. *Red.*

właściwą kategorję (fałszywa subsumcja). Oto przykład:

Człowiek, nieobeznany z zoologją widzi nietoperza; z powodu, że lata, zalicza go bez wahania do rzędu ptaków. Lecz zoolog mu powiada: mylisz się; przymiot latania nie jest istotnym w klasyfikacji zwierząt; nietoperz budową swą wewnętrzną należy do ssących; z ptakami istotnie nic wspólnego niema.

Coś podobnego dzieje się w językach. Ogół uwodzi się pozorem i nieraz z podobieństwa brzmień wnosi o pochodzeniu wyrazów; przykłady takich złudzeń napotykają się tysiącami w każdym języku, z tą tylko różnicą od powyższego przykładu, że gdy tam złudzenie pozostaje bez następstw praktycznych, to w języku błędna analogja, czyli tak zwany słoworód ludowy wywiera prawie zawsze pewien gwałt na wyrazie, tak go przekształtając, aby pod obcą mu kategorję przystawał. Liczne przykłady tego zjawiska zgromadziłem w rozprawce mojej p. t. *Słoworód ludowy* (Kraków 1877); oto z nich kilka: *Jozafata* podprowadzamy pod *Józefata* i robimy zeń *Józefa*; *siną garlicę* podprowadzamy pod *syna* i *gardło* i tworzymy *synogardlicę*; *uć* (wkładać obuwie) podprowadzamy pod *zuć* i robimy z tego *wyzuć, zezuć*; w wyrazie *homeopatja* wraża się nam w pamięć pół wyrazu, a ponieważ drugi kończy się podobnie i ma blizkie znaczenie, więc i jemu takież zakończenie dodajemy i tą drogą powstaje *alleopatja*, zamiast *allopatja*; tak samo wiele osób łączy *zoologję* z *teologją* i robi *zeologję*; ponieważ mówimy *w nogach* (łóżka), więc mówimy i *w głowach*, chociaż głowę mamy jedną itd. itd.

Tą drogą, dla niepiśmiennych, wytwarzają się pewne szeregi wyrazów, zlewające się w świadomości ich w pewne normy; i tak powstaje np. typ wyrazów: *chrześcijanin, parafijanin, grubijanin* itd.; cóż prostszego, że wyraz *włościanin* zaczyna się uczuwać, jako coś bardzo blizkiego z *chrześcijanin* i w pewnych okolicach lub u pewnych osobników przyjmie postać *włościjanin*? A u piśmiennych przybywa ta jeszcze analogja, że ponieważ dotychczas przeważnie pisano *chrześcianin* (przez jedno i), zupełnie tak samo jak *włościanin*, a wymawiało się *chrześcijanin* (przez ij), to prosta rzecz, że się nasuwa pokusa wymawiania i *włościjanin*, boć się wyraz ten pisze zupełnie tak samo jak *chrześcianin*. Ma się rozumieć, że się tu otwiera i droga odwrotna: wymawiania *chrześcanin*, zupełnie tak jak *włościanin*: jakoż i takie wymawianie słyszeć się daje. Na tę analogję zwróciłem uwagę lat temu sześć, właśnie w piśmie dopiero co przytoczonem (str. odbitki 23 i 39, w „Dwutygodniku naukowym“ str. 425 i 476). Formę *włościjanin* spotykałem nieraz i oddawna w druku, np. ostatnio na tytule książeczki ks. Wład. Siar. (kowskiego), drukowanej w Kielcach r. 1871 p. t. „Wesela u *włościjan* z okolic Sobkowa;“ tak samo jest tam i w ciągu książeczki. Czy autor, czy zecer, lub korektor temu winien, to na jedno wychodzi: faktem jest, że analogja jest możebną na gruncie polskim i że sam okaz jej oddawna istnieje. Nikt zapewne nie zechce przypuszczać w Kielcach działania jakiegoś wpływu wynarodawiającego: po co go szukać daremnie, gdy przyczyna tkwi gdzieindziej. Podobne temu spotykamy zjawiska w mowie i piśmie w takich np. formach jak *nicponjum* (zamiast *nicponim*), *postacją, postacjami, skrobja* (krochmal, zamiast *skrobia*, Ginzburga Podręcznik spirytusu np. II, 61), *bazje* zamiast *bazie*, *Turwja* zam. *Turwia*, *Igołomja* zam. *Igołomia*, *rękojmja*, *rękojmij* (*Wiek*, 1879 nr. z d. 29 listopada, oraz 112 i 268) itp. Są to wszystko błędne zbliżenia i kojarzenia, które wcale nie pod wpływem jakiejkolwiek obcej pisowni, lecz skutkiem czysto miejscowego analogizmu powstały.

Oczywiście tedy *włościjanina* wmieszano do dyskusji nad pisownią tylko przez niedokładne obznajomienie się z faktami i niewłaściwe ich tłumaczenie.

Jan Karłowicz.

PALMA.

Wzrok trzymam na szybie, na której
Mróz dzierga haft niémi srebrnemi;
Na dworze szał dzikiej wichury
Mgły szarpie i włóczy po ziemi;
Wiatr tańczy z śnieżycą a słońce ten taniec
Oświeca, jak w dymie gasnący kaganiec.

Ten wir chaotyczny zawieci
Jest niby olbrzymie tło z gazy,
Na którem powstają z kolei
Mych rojeń i wspomnień obrazy:
Barwami przeszłości ożywia się płótno,
Ja patrzę na obraz... ach, jakże mi smutno!..

Samotność mię ciszą osłania...
Myślami daleko stąd jestem
I w zmierzchy zapadam dumania...
Ha! drgnąłem zbudzony szelestem:
To listek z wazonu — podłużny i wązki —
Spadł na dół, z palmowej rzucony gałązki.

Wraz ze mną przez okno to-same
Spogląda na wichry zimowe
Ta palma — oparłszy o ramę
Schyloną posępnie w dół głowę:
Liściastą koronę spuściła w żałobie
I stoi tak smutna, jak cyprys na grobie.

I patrząc na śnieżne zamiecie,
Wspomina swą przeszłość zamierzchłą,
I marzy o słońcu, o lecie,
O szczęściu, co niby sen pierzchło,
O swojej dalekiej na wschodzie rodzinie,
O wiecznie kwitnącej Bengalu dolinie.

I myślą do czasów tych bieży,
Gdy była tam bujna, wyniosła,
Na kwiatach Gangesu wybrzeży
Rozkosznie wśród innych palm rosła:
Po nad nią jaśniały ojczyste błękity,
O które wspierała gałęzi swych szczyty.

Rodzinnych łąk wonne powiewy
Muskały jej liści warkocze;
W ptaszęce wsłuchując się śpiewy,
Patrzyła w Gangesu przezrocze.
W słonecznych promieniach, wsłuchana [w dźwięk pieśni.
Szczęśliwa marzyła, że życie tak prześni.

Dziś w cieśni wazonu zamknięta,
W niewoli marnieje ta branka;
Nie nucą jej piosnek ptaszęta,
Nie pieści blask słońca — kochanka;
Pod niebem północnem zmrożona, skarlała,
Wspomina, czem była i czem się dziś stała...

Na dworze zamiecią wiatr kręci,
Mgły szarpie, śnieg sypie na błonie...
Ja patrzę... i przeszłość w pamięci
Wskrzeszając — w zadumie łzy ronię,
A palma wspomina dolinę Bengalu
I listki swe roni z tęsknoty i żalu...

Włodzimierz Wysocki.

LIBERUM VETO.

Bezimienna skarga ukojona w *Lirze polskiej*.—Kobieta w poezyi niedawnej.—Tytuł człowieka nabyty za cenę straconych uroków.—Noworoczne wędki.—Życzliwi abonenci chwytani na lasso.—*Raki* Kochanowskiego.—Przykrość *Kroniki lekarskiej*.—Protest z konopi.—Subjekci handlowi Nowego Zakonu.—Potrzeba zjednoczenia.—Rozum swoją drogą, a namiętności swoją.

Jakaś bezimienna korespondentka wezwała mnie na pomoc listem przeciwko pewnemu pismu, „nieumiejącemu szanować płci, do której przecie należą córki, żony i matki jego redakcyi.“ List ten odebrałem jednocześnie z szóstym zeszycikiem *Liry polskiej*, ułożonym przez panią Marrené. Zasmucony ową apelacyą, wziąłem zbiorek do ręki z nadzieją, że w nim znajdę pociechę, pamiątkę lepszych czasów, którą podzielę się z moją korespondentką. I znalazłem—a nieutulonej w żalu masce przesłałbym chętnie szósty numer *Liry* jako podarek noworoczny, gdybym wiedział, kto mnie obrał za powiernika czy adwokata. Ponieważ zaś muszę poprzestać na nieugiętej w Warszawie bezimienności, więc tylko zwracam uwagę pokrzywdzonych na świeżo wydaną krynicę czci dla kobiet. Jakżeśmy w krótkim czasie pod tym względem upadli! Posłuchajmy.

> Cyrylli, zrodzony wśród równin Trenmury,
> Odwiedzał raz blizkie Wargerazu góry
> I został w gościnę przyjęty w dom Jana
> I całe dni dziewięć hulali do rana.
> I znowu Jan poszedł w Trenmury równinę.

I znowu pili przez dni dziewięć, po czem ślubowali sobie przed księdzem w kościele wieczną przyjaźń. Wreszcie — opowiada dalej Gaszyński — Jan zażądał pomocy od Cyrylla przeciwko złemu sąsiadowi. Rozbili nieprzyjaciela, zabrali mu dobytek i „turecką dziewicę oblicza krasnego.“ Dobytkiem podzielili się łatwo, ale brankę obaj chcieli posiąść, gdyż ją „kochali z zapałem.“ Długo milczeli, roniąc łzy obfite, aż wreszcie

> ...porwali hanzary w swe dłonie
> I w śnieżnem turczynki utkwili je łonie.
> „Niech ginie niewierna!—radośnie wołali
> Jej śmierć *tylko* przyjaźń najświętszą ocali.

Raz w górach był zbój — pisze G. Zieliński — odważny, krwi chciwy, który za długo odpoczywał, bo

> ...dziewczyna, jak anioł, tak miła,
> Z zalotnym uśmiech włos zbójcy trefiła;
> On brał ją w ramiona, przytulał do łona
> I śliczne całował jagody.

Ale ta sielanka sprzykrzyła się jego towarzyszom, którzy zaczęli szemrać, że wódz ich zniewieściał. Usłyszawszy to

> ...dobył sztyletu i przy błyskawicy
> Uderzył w pierś śnieżną struchlałej dziewicy.
> Ha!—wrzasnął—śmiałkowie! Któż—teraz mi powie,
> Że miłość dla wodza jest matnią?

A co—jak dawniej szanowano kobietę! Przeszkadzała w przyjaźni—hanzar w jej łono, osłabiała męstwo—sztylet w jej pierś. A przytem kochano ją z zapałem. Gdyby dziś Gaszyński lub Zieliński przysłał bezimiennie swą balladę do redakcyi jakiegoś pisma, odpowiedziano by mu niezawodnie: forma piękna, ale treść zbyt dzika. Jednakże niegdyś wiersze takie budziły zachwyt, czytano je z podziwem, deklamowano w salonach śród rzęsistych oklasków, a kobiety czule spoglądały na poetów, którzy tak wymownie sławili ich wdzięki. Asnykowi, Konopnickiej, Gomulickiemu, nie przychodzą już do głowy takie pomysły, lira dzisiejsza nawet wtedy, gdy lekceważy kobietę, odróżnia ją od kozy i szat drogich, które zdobyli dwaj przyjaciele Gaszyńskiego, uznaje w niej człowieka. Nie tak było dawniej—i dla tego, gdy moja bezimienna korespondentka skarży się na czasy obecne, jeszcze ją rozumiem, ale gdy wzdycha do dawnych, wcale jej nie pojmuję, chyba że chciałaby, ażeby jej jaki piękny „rozbójnik kalabryjski“ naprzód „śliczne całował jagody,“ a potem „uderzył sztyletem w pierś śnieżną.“

Widocznie tego rodzaju utwory nie smakują dzisiejszym abonentom, kiedy ich nie

zamieszcza przy końcu roku żadne pismo, mające „w społeczności szeroką podstawę.“ Daleko skuteczniejszym środkiem jest zacząć na dwa tygodnie przed nowym rokiem jakąś powieść ciekawą lub ozdobioną głośnem nazwiskiem. To zapuszczanie wędek odbywa się na tak wielką skalę, że mnie aż wstyd za redakcyę *Prawdy*, która z dziwną pedanteryą kończy wszystkie artykuły w ciągu roku. Jest to niewytłomaczony jej upór. Czyż to nie lepiej zacząć w ostatnim numerze jakiś utwór i myślą powiedzieć prenumeratorom zniechęconym: aha, chcieliście uciec rybki i połknęłyście haczyk z przynętą; zostaniecie, zostaniecie, u nas! Sposób ten nietylko zapewnia dobre łowy, ale nawet pozwala je osłonić pozorami wspaniałomyślności: „abonenci przybywający od nowego roku otrzymają odbitkę początku powieści bezpłatnie.“ To druga wędka—tylko idealniejsza. Każdy orze, jak umie, ale wobec tych haczyków i przynęt, co znaczą frazesy o „szerokiej i trwałej oporze,“ o „ścisłych węzłach łączących redakcyę z jej abonentami,“ o „rozszerzaniu się gruntu,“ a nadewszystko o „wyrażaniu przekonań i uczuć większości społeczeństwa.“ Że szczęśliwi posiadacze takiego zaufania i sympatyi potrzebują rzucać lasso na swych prenumeratorów i łapać ich jak uciekające konie—to mnie mocno dziwi. Chyba owe „opory,“ „grunty“ i „większości społeczeństwa“ są noworoczną blagą, którą należy tak czytać, jak *Raki* Kochanowskiego—odwrotnie.

Godności trzeba nie za nic tu cnota
Miłości pragnę nie pragnę tu złota

Czyli:

Cnota tu za nic nie trzeba godności,
Złota tu pragnę, nie pragnę miłości.

Ostatnie te wiersze chce również do zamierzonej *etyki* wprowadzić jako przykazania *Kronika lekarska*. Doznała ona ciężkiej boleści. „*Smutny* fakt — pisze w ostatnim numerze. *Z prawdziwą przykrością* dowiedzieliśmy się z gazet codziennych o projekcie dr. W. pomocy lekarskiej *bezpłatnej* dla członków Stowarzyszenia subjektów handlowych. Nam się zdaje, że instytucya *nie* dobroczynna, lecz głównie w celach *czysto* towarzyskich działająca, podobnej ofiary ze strony lekarzy nie potrzebuje. Czyżby członkowie jej dla tego zasługiwali na pomoc bezpłatną, że się zbierają na pogawędkę, zabawy w drogo opłacanym lokalu, gdzie jednak jadła i napoju darmo nie dostają, a i na pokarm duchowy składki opłacają?

Dlaczego więc tylko praca lekarska ma być udzielana bezpłatnie. Czyż ona mniej warta, aniżeli butersznyt, lub kufel piwa? Jeśli zarząd dba rzeczywiście o zdrowie swych członków, to powinien zakontraktować lekarzy, którzyby w razie potrzeby obowiązani byli udzielać pomocy stowarzyszonym.—Tak się dzieje w fabrykach, na kolejach, gdzie też sami pracownicy składki na to łożą.

Nie dziwimy się wcale, że stowarzyszenie subjektów handlowych projekt ten oklaskiem przyjęło i lekarzy, w ten sposób *się narzucających*, członkami „honorowymi“ zamianowało. Od przybytku przecie głowa nie zaboli, zwłaszcza gdy przybytkiem tym są lekarze. Ale dziwimy się lekarzowi, który z podobnym projektem się narzucił.“

Me Hercle nie wiem, co tu jest większe: nieznajomość przedmiotu napaści, czy też pomieszanie pojęć moralnych. Rozmówmy się metodą sokratyczną: Stowarzyszenia studenckie są dobroczynne? Nie. A więc redakcye źle robią, zniżając im cenę pism lub posyłając je bezpłatnie. Wieś jest stowarzyszeniem dobroczynnem? Nie. A więc dwory źle robią, rozdając chłopom z apteczek domowych lekarstwa. Takich „smutnych faktów“ mógłbym wyliczyć mnóstwo, a dodać do nich wypada komentarz, że Stowarzyszenie subjektów handlowych jest *czysto* dobroczynnem, a jeżeli urządza koncerty i zabawy, to zupełnie na tej samej zasadzie, na której Towarzystwo dobroczynności urządza maskarady i bale—jako środek pomnożenia funduszu. Wreszcie przypuśćmy, że jestto instytucya wyłącznie towarzyska: co *Kronice lekarskiej* do tego, że jakiś lekarz ofiarował jej członkom swą pomoc bezpłatnie? Czy to krzywdzi kogokolwiek? Każdy, a więc i doktór ma prawo do wynagrodzenia za swą pracę; ale nikt nie ma prawa mu przepisywać, gdzie on powinien wziąść zapłatę a gdzie jej nie przyjąć. To jest nietykalna swoboda osobistych zasad i uczuć, a *Kronika lekarska* daremnie by wysyłała swoje patrole dla pociągnięcia do odpowiedzialności moralnej (!) „narzucających się“ ze swą bezinteresowną pomocą; nie zapobiegnie ona „faktom smutnym“ a wytworzy gorszące, do jakich właśnie należy jej apostrofa. I jeżeliby z podobnych chciwostek miała się usnuć zamierzona „etyka lekarska,“ to doprawdy lepiej jej światu nie pokazywać.

Podpalone nawet z tej strony Stowarzyszenie subjektów handlowych wyznania mojżeszowego doczekało się współzawodniczki w pokrewnej instytucyi wyznania chrześciańskiego. Te „wyznania“ w związkach handlowych są czemś paradnem. Przybytek kupiecki Nowego Zakonu otrzymał ustawę ciaśniejszą, niż starozakonny; o tę różnicę zaczną się zapewne rozbijać dawno podjęte chęci zjednoczenia obu stowarzyszeń. A jednak zjednoczenie takie jest niezbędnem. Dobra wola i ustępstwa stron obu doprowadziłyby niewątpliwie do zgody, gdyby panowie subjekci przestali grać rolę gwelfów i gibelinów i roskoszować się swoim separatyzmem. Merkury Nowego Zakonu jest bardziej ograniczony w swobodzie swych ruchów, ale ją ponowionemi staraniami rozszerzyć może; Merkury Starego Zakonu jest znowu skrępowany wyznaniowością, której nigdy usunąć nie zdoła; ostatni zatem, prędzej czy później, musi oddać swą laskę pierwszemu.

Musi? Tak mówi rozum — namiętności inaczej tę sprawę rozstrzygną, a raczej pozostawią bez zmiany. Bo one najczęściej rządzą światem.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Mamy swoją krupczatkę. — Faktor z nazwiskiem pana. — Wdzięczna modlitwa. — Rozwiązanie kwestyi żydowskiej. — Wykład p. Korffa. — Zdobywanie plebanij przez złodziejów. — Udaremniony napad. — Względność sędziego śledczego i nadzieja w prokuratorze. — Uchwały Radomia.

Mieszczuch, zajęty abonamentem na przedstawienia Modrzejewskiej i Teresiną Tua, nie dosłyszał lub nie odczuł, ale niedoszli członkowie „kongresu“ rolniczego dosłyszeli i odczuli całą wagę okrzyku *Korespondenta płockiego*: Mamy własną krupczatkę, białą, nie żółtą, ale własną! Szczęśliwego posiadacza biletu na przedstawienia Modrzejewskiej, który łamiąc żebra przy kasie, nie przypuszcza, ażeby w jego ojczyźnie było coś godniejszego poświęceń — winienem objaśnić, że krupczatka jest to mąka, przywożona z Rosyi, bardzo tania i dlatego wypierająca inne droższe gatunki. Otóż w Korczewie zaczęto ją wyrabiać. Pisma rozniosły po kraju tę radosną nowinę w podarku gwiazdkowym, zapomniawszy dodać, kto jest owym energicznym przemysłowcem. Żyd, niemiec, czy „nasz?“ W każdym razie musi to być człowiek, który nie pożycza swego nazwiska — faktorowi.

„Ażeby mieć pojęcie — pisze korespondent *Wieku* — do jakiego stopnia wyrobili sobie monopol (!) faktorzy tutejsi (lubelscy), dość powiedzieć, że każdy z nich przybiera nazwisko obywatela, któremu służy, i pomiędzy sobą tytułują się nie Ickami lub Berkami, lecz ...*skimi* lub ...*iczami*.“ W słowach korespondenta przebija się rzewna boleść, której w żaden sposób podzielić nie mogę. Jeżeli lokaje, furmani, a nawet konie na czaprakach noszą herby swych panów, dlaczego klejnotu szlacheckiego niema używać faktor, który przecież dla obywatela jest czemś więcej, niż lokaj, furman lub koń? To jego pośrodnik, doradca, wierzyciel, pełnomocnik, to jego kieszeń lub rozum. Berek bardzo słusznie nazywa się ...*skim* lub ...*iczem*, bo on jest rzeczywiście ...*skim* lub ...*iczem* w drugiej osobie. Bez niego niejeden obywatel tak by nie mógł istnieć, jak bez czasu i przestrzeni. Szlachta się skarży na żydów a jej pisma biją w takt tego lamentu; a przecież gdyby ona chciała być sprawiedliwą i wdzięczną, powinnaby odmawiać w codziennej modlitwie: dziękuję ci Boże, żeś mi dał pięćdziesiąt włók ziemi, matkę z ...*ów*, ojca z hetmańskiego rodu, a nadewszystko dziękuję ci, żeś mi stworzył Berka, bo co ja bym bez niego zrobił? Kto takiej modlitwy nie odmawia, ten albo jest niesprawiedliwym i niewdzięcznym, albo sam... wyrabia krupczatkę i... rozwiązuje kwestyę żydowską. Są to najniebezpieczniejsi radykaliści: zrozumieli, że owa „kwestya“ opiera się na naszem niedołęstwie, i rozcięli jej węzeł, zabrawszy się energicznie do pracy, nie czekając, aż im państwo obłoży cłami przemysł zagraniczny, a zakazami — żydowski.

Chłopi niemieccy podali do sejmu prośbę o pięciokrotne podwyższenie opłat od przywożonego zboża; podobne pragnienia odzywają się we wszystkich krajach, żyjących ziarnem obcem. U nas — w „spichlerzu Europy“ — ten środek ratunku jest nieprzydatnym; dopóki więc rolnictwo nie wydobędzie się z pod tej góry, która je przywaliła, tymczasem radzi ono i sejmuje na całej przestrzeni państwa. W petersburskim Towarzystwie ekonomicznem baron Korff przedstawiał przyczyny obecnego zastoju w handlu zbożowym oraz sposoby zaradzenia klęsce. Według niego, spadanie cen nie zatrzyma się prędko. Wielkie kanały (Suez, Panama) sprzyjają gromadzeniu na rynkach europejskich coraz większych zapasów; Indye zaś, które mogą zbierać plony dwa razy na rok, przy niewielkich kosztach, dają produkt najlepszego gatunku. Europa potrzebuje rocznie 32,000,000 czetwierti pszenicy zagranicznej, a dostaje 50,000,000! Zniżanie się więc cen jest nieuniknionem. To też farmerowie angielscy zamieniają pola na łąki, we Francyi ziemia tanieje, a praca nad nią nie jest wynagrodzaną należycie i musi się uciekać do ceł ochronnych. Ale ostatecznie, jak na to wszystko poradzić? Zdaniem p. Korffa, taniość chleba pozwala robotnikowi zaoszczędzać grosz, który wydaje na mięso, o czem przekonywa coraz większy dowóz jego do Europy. Przywóz wołowiny do Anglii zwiększył się o cztery, baraniny zaś o sześć razy. Urządzają tam wagony z lodowniami dla dostarczania mięsa bitego, ponieważ bydło przypędzane mogłoby uledz zarazie, szukają sposobów konserwowania go—i sprzedaż idzie pomyślnie. Gubernie południowe Rosyi mają możność rozwinięcia hodowli zwierząt domowych w znacznych ilościach, zarówno rogacizny, jak nierogacizny i owiec, dla wysyłania na rynki europejskie. Obok tego należy być czujniejszymi i lepszymi znawcami potrzeb swych konsumentów, oraz cen żądanych lub dawanych na Zachodzie za produkta.

Pomysł ten i u nas rzucano w publiczną dyskusyę, ale bywał on w niej zabijany argumentem, że hodowla bydła opasowego,

możliwa na stepach, u nas nie opłacałaby kosztów — ta więc nić z labiryntu ziemian nie wyprowadzi. Czy istotnie ów argument jest stanowczym? Odpowiedź na to i tym podobne pytania musimy pozostawić *Gazecie rolniczej*.

Doprawdy wobec ciągłego spadania cen zboża z jednej a również ciągłych rozbojów z drugiej strony, ziemianie nasi dla wyjścia z tych wąwozów kaudyńskich podpisaliby umowę ze złodziejami, dozwalającą kraść żyto i pszenicę. Ale, niestety, oba te produkty tak staniały, że porządnym złodziejom nie opłaca się ich zabierać. W tygodniu ubiegłym znowu rozsławili się oni kilkoma napadami na plebanie, które od pewnego czasu głównie ich nęcą. Wydelegowany do tego rodzaju spraw święty albo zasypia, albo swą mocą bandom podołać nie może; rabusie więc, związawszy księdza i jego gospodynię, plądrują bez przeszkody. Czasem tylko — jak np. w Witowie pod Piotrkowem — stróże nocni, spostrzegłszy zbójów, sprowadzą kogoś ze strzelbą i udaremnią napaść. We wspomnianym wypadku zbawicielem był rządca, który położył trupem jednego opryszka i spłoszył resztę.

Nie udała się również wyprawa na dwór w Łopacinie (pow. ciechanowski), chociaż na łupy czekały w pobliżu furmanki. Złapano nawet herszta. Jest nim syn bogatego kupca z Nasielska. Kradzież musi być przedsiębiorstwem zyskownem i... bezpiecznem, kiedy już zwrócili się do niej synowie bogatych kupców. I bezpieczną? Pisma sarkają, że sędzia śledczy, pomimo niezbitych dowodów, uwolnił schwytanego bandytę. Zapewne, prawo na taką względność zezwala, ale nie należy jej stosować w okolicy, w której rozboje i kradzież szerzą się zatrważająco, i w czasie, kiedy przekonanie o bezkarności uzuchwala zbrodnię. Jeżeli kara wywiera wpływ, to należałoby u nas wznowić ustawy drakońskie, bo złodzieje gospodarują w kraju tak swobodnie, jak gdyby nad nimi nie wisiał miecz sprawiedliwości. Słyszeliśmy, że prokurator warszawskiej Izby sądowej pragnie wzmocnioną energią zdusić kradnącą i mordującą hydrę; sądzimy też, że tolerancya sędziego śledczego nie zyska uznania prokuratury, a kupiec nasielski w więzieniu rozpamiętywać zacznie skutki wyprawy na Łopacin. Świeżo czytaliśmy w gazetach niemieckich ostrzeżenia, ażeby podróżni, udający się do Królestwa polskiego, w jednej kieszeni zaszytej mieli portmonetkę a w drugiej otwartej rewolwer. Przepowiadaliśmy tę naszą sławę. A jak ona jest bolesną, jak upokarzającą, jak ohydną!

Ojcowie miejscy Radomia obradowali nad dwoma sprawami: projektem nowego budynku dla szkoły elementarnej i potrzebą założenia Towarzystwa kredytowego. Ponieważ w skład ich wchodzą właściciele domów, (którzy zapewne mają niezajęte mieszkania), więc uchwalili, że szkoła może wynająć sobie lokal, kiedy go wynajmują inne instytucye, a co do Towarzystwa należy się porozumieć z innemi miasiami. Jak widzimy tedy, Radom nie chce naśladować Lublina i występować z Towarzystwem samodzielnie — co mu się chwali, a przytem sądzi, że każdy dom może służyć do wszystkiego — co mu się gani. Bo szkoła powinna być nietylko miejscem uczenia, ale także zakładem urządzonym hygienicznie, dającym uczniowi nietylko wiedzę, ale i potrzebną ilość świeżego powietrza.

A. C.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 1 stycznia.

Prasa umie sobie zawsze poradzić, gdy jej materyału do gadania zbraknie. Jak zwykle, i w tym roku święta zatamowały potok nowin, a nawet w tym roku, bardzo anemicznym, cisza zaległa większa. Ale od czego najpomysłowszy i najzuchwalszy łgarz — *Figaro?* Jeżeli on mógł ogłosić, że jakaś dama oblała kwasem siarczanym twarz Cherbuliez'go i sprowadzić na zdumionego tą bezczelnością powieściopisarza tłumy ciekawych lub współczujących z jego mniemanem nieszczęściem, to dlaczegóż by nie miał napisać w czasie posuchy politycznej, że ks. Bismark przyjedzie do Paryża? *Nordd. Allg. Ztng.*, która ma polecone dworować Francyi, i to kłamstwo dziennika paryskiego przyjęła z grzecznem zaprzeczeniem: kanclerz nie pojedzie do Paryża, ale jego spotkanie się z przedstawicielem rządu francuskiego odpowiadałoby zupełnie stosunkom przyjaznym obu mocarstw. Tak z uśmiechniętą miną wywnioskował organ kanclerski, a prasa europejska zyskała temat, który zużył beczki atramentu i miliony arkuszy papieru. O biedny atrament, o biedny papier w służbie u plotek!

Na wybrzeżach Afryki i wyspach Oceanu spokojnego odbywa się prawdziwy połów na ziemie, prawdziwy wyścig w zatykaniu flag. Niemcy, które wywołały ten ruch, gdzie mogą, wywieszają swe chorągwie. Przestraszona Anglia stara się ich uprzedzić, jej agenci łapią głupich królików na rozmaite obietnice, a ładunki żółtego drutu i czerwonej flaneli płyną na okrętach nieprzerwanie. Telegraf niemal codziennie przynosi wiadomości o zajęciu nowych wysp i okolic, albo zapowiada zdobycze prawdopodobne. Zdaje się, że jesteśmy w pierwszym okresie stworzenia ziemi i że ród Adama rozchwytuje ją kawałami. Niemcy, anglicy, francuzi, hiszpanie, portugalczycy wsiedli na statki i pędzą na oceany, ażeby owładnąć wszystkiem, co wystaje z morza, a jeszcze nie posiada europejskiego pana. „Cywilizacya“ siły, gwałtu, wyzysku, handlu, przemysłu ruszyła w pochód.

Francuzi w Tonkinie odnowili działania zaczepne i podobno szczęśliwie. Szczęście to wszakże sączy się kroplami i nie napełniło jeszcze tej miary, którą by można wznieść dla uczczenia zakończonej wojny. Niezliczone mrowisko chińskie, w którem „pożywienia“ dla armat nie zbraknie, broni się wytrwale, a francuskie miliony uchwalanego na wojnę kredytu wsiąkają w dziurkowaty grunt wyprawy, jak w gąbkę. Końca jej dotąd nie widać.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

St. Pet. Wiedomosti wysunęły swą zwykłą szufladkę złorzeczeń na polaków i wyjęły z niej następującą trutkę:

„Znowu rozlegały się głosy o testamencie jagielońskim, na ten raz w murach niemieckiego sejmu z ust posła Jażdżewskiego, który domaga się zaprowadzenia języka polskiego narówni z niemieckim w polskich ziemiach korony niemieckiej.

Pod maską filologiczną (?) występuje prośba o utworzenie jednej z podpór do polszczenia tych ziem, które polacy uważali za własne przed r. 1772. Owóż testament jagieloński ponownie się wywleka z archiwów polskich, i w Niemczech chcą czynić to samo, co czynią u nas. Widmo Polski od morza do morza znowu głowę podnosi i polskie głosi prawa do Gdańska tak samo, jak głosiło je co do Kijowa.

Maskę zerwała z polskiego wniosku ręka patryoty niemieckiego (Cunego), który wykazał kłamliwość wymagań filologicznych wobec tego, że niemal wszyscy polacy posiadają język niemiecki i w parlamencie oni właśnie są najlepszymi (!) mówcami, gdy niemcy językiem polskim nie władają... Pod tym względem niemcy szczęśliwsi są od nas (rosyan), my uczymy się gorliwiej (!) mowy polskiej, niż polacy rosyjskiej.

Najprawdopodobniej komisya sejmowa odrzuci propozycyę Jażdżewskiego, która stanie się tylko hasłem bojowem Dzieduszyckiego, oraz dowodem, że jeszcze Polska nie *sginieła* nawet w sejmie niemieckim, o czem należałoby pamiętać zarówno w Berlinie, jak w Petersburgu.

Rzecz jednak ciekawa — zapytuje dziennik — na czem się wspiera takie podniesienie ducha patryotów polskich.

Na czem? Chyba na sieciach rybaków mętnej wody, na malignie furyatów politycznych, na złośliwych bredniach — bo chyba nie na rzeczywistości. Że polacy nigdzie żadnych buntów nie podnoszą i stoją na gruncie prawa, to wiadomo każdemu, nie wiadomo tylko nikomu, czy podobne artykuły pisze dziecinna niewiadomość w dobrej wierze.

Nowoje Wremia rozprawia się z inną marą:

„Dziennikarstwo polskie w ostatnich czasach gorąco walczy nietylko przeciw samowładztwu rosyjskiemu, ale i przeciw niemieckiemu liberalizmowi, dowodząc na podstawie deklaracyi ostatniej Bismarcka i prasy rosyjskiej. że po zjeździe skierniewickim pogorszyły się sprawy polskie tak dalece, iż obecnie spodziewać się tylko należy zwrotu ku lepszemu. Między innemi *Dziennik poznański* stosuje do spraw polskich znane wyrażenie *Moskowskich wiedomosti*: „rząd powraca“, tłómacząc słowa te w szczególniejszy sposób. Gazeta widzi w nich ni mniej ni więcej, tylko naganę dla całego rządowego systemu panowania zeszłego i powrót do systemu cesarza Mikołaja. Lecz dla polaków, podług *Dziennika*, ten ostatni system, oparty na reakcyi politycznej, sam w sobie jest niezbyt straszny, ponieważ surowy dla osób pojedyńczych, nie dotknął narodowości polskiej, której zachowanie polacy, jak wiadomo, stawiają nawet po nad rządy parlamentarne. Wynik ztąd jest ten właśnie, że skutkiem zapowiedzianego przez gazetę moskiewską powrotu rządu może nastąpić dla polaków zwrot ku lepszemu, gdyż dążność ta ma stanowić punkt kulminacyjny systemu niwelującego w Królestwie Polskiem.

Sprzeczności, zachodzące w tej dyagnozie stosunków Kraju przywiślańskiego, pomijamy, wołając nawet o reakcyę polityczną, byleby tylko zachować niepodobny do „pozostałej“ Rosyi, to jest przedmilutyński ustrój społeczny, publicyści tacy, jak przytaczani, zapominają, że powrót rządu względnie do spraw polskich może znaleźć lepsze wytłómaczenie, mianowicie w niezachwianem zachowaniu i rozwinięciu pierwiastków, wskazanych przez nieboszczyka cesarza i zastosowanych przez pierwotnych jego współpracowników w reformie Polski rosyjskiej, bez żadnych zboczeń, tak niekorzystnie cechujących niekiedy zarząd Królestwa Polskiego, a zwłaszcza zachodniego kraju. Dość jest wspomnieć o epoce potapowskiej, o rydwanach złotych w znanej mowie jen. Kachanowa, o ukrytej walce Berga przeciw ludziom, których uważano za jego spółpracowników, ażeby zrozumieć istotę tych zboczeń i znaczenie powrotu rządu w polityce rosyjsko-polskiej. Śmieszną atoli jest rzeczą rozprawiać o rzeczywistym powrocie do epoki, jaskrawie określonej i zamkniętej w dziejach nazawsze, do okresu cesarza Mikołaja, którego polityka wewnętrzna znajdowała podstawy w ówczesnym stanie rzeczy, dziś już nieistniejące, zwłaszcza w Królestwie polskiem. Narodowość polska, wówczas rzeczywiście nietknięta, otrzymała lat dwadzieścia temu nowe wskazówki, ujrzała drogi nowe do swego rozwoju. Do tych dróg zbliżać się będzie ciągle i coraz większa liczba rozsądnych polaków, i musi przyjść ta chwila, w której inteligencya polska zrozumie, że dzieje nie powtarzają się wcale.

Tym nadziejom wszakże przeznaczono na każdym kroku napotykać niepomyślne objawy. Za jeden z takich objawów potrzeba uznać wniesiony przez *Reformę* krakowską projekt zawiąza-

nia towarzystwa polskiego obrony wzajemnej, zrazu materyalnej za opłatą po 2% od dochodu przez każdego uczestnika, a zczasem bezwątpienia związek ten wytknie sobie szersze cele. Charakterystycznem jest to, że jako wzór dla nowej instytucyi, wystawianym jest żydowski związek wszechświatowy. Lecz żydzi wiedzą, że nie mają ojczyzny, a pozbawieni swego terytoryum starożytnego nie życzą sobie powrotu do jego posiadania. Jest to lud, żyjący na innych narodach i za ich pośrednictwem, oddawna posiadający organizacyę kahału. Wszystko to są rysy, które wobec niemal powszechnego niesympatyzowania z żydostwem, gdzie tylko ono mieszka, dostatecznie tłómaczą istnienie żydowskiego związku międzynarodowego, tembardziej, że też żydzi władają najznaczniejszymi w świecie kapitałami. Czy istnieją podobne warunki śród polaków?“

A więc, według *St Pet Wied.* polacy głowy podnieśli, według *N. Wremieni* opuścili. „Jak chcecie gospodarze: i tak grać można — i tak grać można.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Rozporządzenia. Osoby, należące do trzech pierwszych klas w służbie państwowej, personel sądowy, zarówno jak i służący w armii lądowej i floty nie mogą zakładać towarzystw i spółek handlowych lub przemysłowych instytucyj kredytowych publicznych i prywatnych, wyjąwszy Towarzystwa, mające na celu uprawę gospodarskich produktów wiejskich, eksploatacyę bogactw mineralnych w majątku własnym, również Towarzystwa wzajemnego kredytu miejskie i ziemskie, instytucye kredytowe z charakterem dobroczynnym, kasy pożyczkowo-oszczędnościowe wiejskie pożyczkowo-oszczędnościowe dla urzedników i Towarzystwa konsumcyjne. Atoli piastowanie urzędów nie jest dozwolone osobom wzmiankowanym nawet w Towarzystwach wzajemnego kredytu miejskich i ziemskich. Co się zaś tyczy innych osób, piastujących urzędy, winny one, gdy chcą należeć do przytoczonych instytucyj, prosić w tym celu o pozwolenie swych przełożonych. Przepisy te nie zabraniają czasowego udziału w komisyach rewizyjnych bez wynagrodzenia, jako też w zebraniach ogólnych. Wykraczający przeciw nim, obowiązani są opuścić służbę. Osobom, zajmującym obecnie nieodpowiednie urzędy wybieralne, wolno je zachować aż do pierwszego zebrania ogólnego. Co do specyalistów, uwolnionych czasowo dla pełnienia urzędu w prywatnych przedsięwzięciach społecznych, władze będą stosowały do nich specyalne rozporządzenia.

— Opłaty szkolne, składane w żeńskich gimnazyach, i progimnazyach warszawskiego okręgu naukowego mają być odsyłane do ministeryum.

Przestroga. W tych dniach okradziono przy ulicy Dobrej jednego z urzędników Banku Polskiego podczas dnia. Złodziejom ułatwiła rabunek ta przyjazna okoliczność, że dom ma trzy wyjścia, jeden stróż używany jest do rozmaitych posług i z liczną rodziną „przemieszkuje w maleńkiej izdebce, *niemającej wcale okna*“. Miłosierdzia, albo przynajmniej sprawiedliwości dla tych biedaków. Więzienia weneckie więcej udzielały miejsca męczennikom, niż nasi właściciele domów dają stróżom. W komórkach, w lochach ciasnych żyje po kilka osób. Już te okropności wyszły na wierzch przy spisie jednodniowym, ale o nich zapomniano. Według nas istnieje tylko jeden skuteczny środek: Rząd gubernialny nie powinien zatwierdzać planów, w których nie ma odpowiedniego pomieszczenia dla stróża.

Trzęsienie ziemi nawiedziło Madryt.

Kradzież. W głównej kasie państwa wykryto brak 6,000 rs. srebrnej monety zdawkowej.

Na indeksie watykańskim umieszczono ostatnie dzieło Renana *Nouvelles etudes de l'histoire religieuse.* Nakładca musiał się niewątpliwie ucieszyć, bo książka szybko sprzeda.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Z. S. Wiersze, pisywane „w swobodnych chwilach“ są zwykle mało warte. Pański potwierdza tę regułę aż do zbytku: opowieść banalna, rymy albo pospolite, (mogli — zmogli, błyska—połyska), albo niemożliwe (porą—boru, pojąłem—mogłem, jedli—*szedli* (!), manię—wcale), rytm żaden. Niech Pan na coś pożytecznego zużytkuje „swobodne chwile“.

Ł. z W. Wiersz niejasny (w oryginale, czy pańskim przekładzie), forma powszednia lub ułomna. A co znaczy: „z rosyjskiego?“ To tylko pensyonarki, przetłomaczywszy jakąś powiastkę Daudeta, piszą: „z francuskiego“.

Jadwidze L. w Lublinie. Wiersz w pomyśle bardzo dobry, w formie nieco kuleje, i po pewnych zmianach byłby nawet godzien druku.

K. Ad. Przesada. Papier jest droższy, niż w poprzednim dodatku, a druk ten sam; nie dodatek więc nasz pogorszył się typograficznie, ale chyba wzrok pański.

Prenumeratorowi. Przeciwko kontroli nad funduszami przysyłanymi do redakcyj pism dla rozdania biednym, nic nie mamy; ale do tej roli powoływać „z grona prenumeratorów ludzi zaufania“—niepodobna. Kto będzie wybierał, kogo i jak? Dotąd zwykle administracye pism prowadzą książki tych składek i zatrzymują pokwitowania.

P. J. R. Ach, szanowny panie, ile my posiadamy takich faktów—do prywatnego użytku! Nie można.

P. S. W. w Warszawie. Nie ogłaszaliśmy, bo uważamy to za zbyteczne. *Aspazya* drukowana będzie w *Prawdzie* w kwartale następnym. Pierwej pójdą w odcinku prace dawniej przeznaczone.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Dr. Gierszyński z Ouarville fran. 10. Wszeborowski z Wyszkowa rs. 2. Z. H. z Koroczy rs. 1. A. z Odessy rs. 15. Z. A. M. z Kaniowa rs. 3. Antoszewicz z Uzłowej rs. 5 k. 50.

Dla studentów warszawskich. Godyński z Mineralnych wód rs. 5, M. S. z Białej Cerkwi rs. 1.

Dla studentek polek w Petersburgu. B. B. M. Z. od Stud. Inst. Agron. z Puław rs. 2.

Dla biednych. A. z Odessy rs. 7.

Na Kasę Mianowskiego. S. K. rs. 5, S. W. rs. 5 z Eka. Bogdanowicz z Koziany k. 50.

Na szpital dziecinny. M. Lewicka z Czereszenki k. 50.

Na powodzian. Dubowik z Nochtujska rs. 3.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Декабря 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.